PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

ROK PIĄTY

Nr. 1.

15 Stycznia 1886 r.

Główny redaktor K. BARTOSZEWICZ.

KRAKÓW.
W drukarni A. Kozińskiego, Szewska 21.
1886.

TREŚĆ Nru 1.

REKRUT.

napisał

Jot. Ka. Er.

Była to jedna z owych cudownych nocy górskich. Ciemne szafiry niebios złociły się milionami gwiazd, a blady księżyc oblewał smutnem światłem turnie tatrzańskie. Cicho było i martwo, szare osuszone granity drzemały, ukołysane szumem starych buków i świerków. Może one śniły o dawnych, lepszych czasach... Na dole tylko srebrne potoki pieniły się i huczały, pędząc do Dunajca. Cicho było i martwo: w taką noc góral mimowoli ogląda się, czy gdzie pośród drzew nie błyśnie światełko brodatego mnicha, a góralka żegna się ze strachem przed dziwożoną w czerwonej czapeczce.

Na kraju lasu stała chata góralska, zasłonięta od wichrów konarami olbrzymiego jaworu. Na małej ławeczce u stóp drzewa siedziała młoda dziewczyna, a obok niej góral dwudziestoletni.

W księżycowem oświetleniu malowały się wyraźnie ich postacie: ona była brunetką z delikatnemi rysami twarzy i szafirowemi oczyma, chłopiec zaś smukły i bujny, jak jodła, a według góralskiego porównania, jak buk, miał jasne, długie włosy, rzymski nos i bystre błękitne oczy, które twarzy jego nadawały wyraz orlej dumy. Trzymał jedną ręką w pół dziewczynę i mówił:

— Tak wej moja Maryś musi być. Musę iść do światu; Pan Bóg wié, cy się wrócę kiedy?“

Jakby na odpowiedź z daleka doleciała ich śpiewka rekrutów

„Kie my se pudziemy bez te cyste hory,
Zna se sam Pan Bóg, cy się wrócim wtory?“

Dziewczyna otarła łzy rękawem od koszuli i rzekła:

— Ej Jasiu, Jasiu serdecny, bedzie mi tez serce płakało za tobą. Cobyś przynajmniéj wrócił się kiedy...

— Ty bo się ta wnet pociesysz — mówił Jasiek — dość tu świarnych chłopców po wsi; ale mnie to się straśnie bedzie cniło przez ciebie.

Dziewczyna wstrząsnęła głową:

— Nie gadaj Jasiu po próżnicy. Choćby tu jacy ślicni przychodzili, nie będę ich chciała.

W tej chwili od strony wsi dobiegł rozmawiających tęskny, dziki ton Sabadowych [1]) gęślików i ulubiona jego nuta:

„Hej! z orawskiego zamku chłopcy spozierają,
Cy się po pod Tatry bucki rozwijają?“

— Bedzie mi się téz cniło i za temi gęślikami i za témi górami wysokiemi i za ludźmi swoimi — rzekł smutnie Jasiek — ale darmo, trza iść. Marysia załamała ręce. A pod zielony, stary jawór przyleciała znowu Sabadowa nuta:

„Hej! z orawskiego zamku chłopcy masierują,
A dziewcęta płacą, rącki załamują.“

W dali, w ciszy ginęły staroświeckie, przeciągłe, dzikie tony Sabadowych gęśli, które tyle umieją wygrać nut z jaśniejszej, lepszej przeszłości góralskiej.

Wtem drzwi skrzypnęły i z wnętrza chaty ozwał się głos kobiecy.

— Maryś, chodź do domu.

— Idę matulu zaraz — odparło dziewczę.

Zarzuciła chłopcu ręce obie na szyję i płacząc, mówiła:

— O mój Jasiu kochany, złoty, nie zabacaj o mnie i niech cię Matka Boska prowadzi.

— Ostań z Bogiem moja Maryś serdecna.

Rozeszli się — może na zawsze?

A stary jawór kołysał się w lekkim wietrze i szumiał, jak przedtem. Ciekawsze on może widział rzeczy, jak pożegnanie Marysi z Jaśkiem? Może kiedyś, w cieniu jego konarów spoczywał hetman zbójecki Janosik z dwunastu swymi towarzyszami? Może zakopali kiedy pod nim dukatów złotych kociołek, zdobyty na

---

[1]) Sabadą zwany Jan Krzeptowski, słynny strzelec na niedźwiedzie i muzyk.

węgierskich dziedzinach? Stary był bardzo, musiał wiele pamiętać...

Jaśkowi nie chciało się iść do karczmy, smutno mu było i ciężko, myślał zresztą, że może Marysia wyjdzie jeszcze z chałupy. Zawinął się więc w czuszkę i oparł o pień jaworu. Noc była ciepła i cicha; powoli jednostajny szum wody, zdającej się w blasku księżyca płynącym kryształem i srebrem, i szmer jaworowych liści poczęły go usypiać. W pobudzonej jego wyobraźni zaczęły się roić dziwne obrazy. Zdawało mu się, że smereczki młode, posadzone koło chaty, jako zasłona od wiatrów, przybierają kształty ludzkie; ze smereczków utworzyły się postacie zbrojnych i strojnych dwunastu towarzyszy Janosika i on sam w czerwonem, złotem naszywanem odzieniu, bujny i piękny na ich czele. Wyciągał ku Jaśkowi rękę ze srebrnym puharem i mówił: „Przystań ku nam“. Jasiek wziął puhar, wypił i za chwilę ujrzał się w Kościeliskach, w zbójeckiej grocie.

W koło niego ciż sami zbrojni i strojni siedzieli zbójcy. Janosik sparłszy się jedną nogą na kamieniu grał na fujarce liptowskie nuty; u nóg jego stały kociołki pełne złotych dukatów i srebrnych, węgierskich talarów.

Nagle w rozmarzonych oczach Jaśka zmienił się Gewont w mur wysoki i długi, lasy czarne po reglach w wojsko, a jawór, pod którym siedział, w szubienicę. Pod szubienicą stał Janosik zbroczony krwią, ale śmiało i dumnie patrzący przed siebie, z fajką w ustach. Dwunastu jego towarzyszy i sam Jasiek siedzieli na ziemi zakuci w okowy. Czuł je Jasiek przez sen na rękach i nogach, zdawało mu się, że Tatry się chwieją i lasy gną od grozy; do uszu jego doleciała piosenka, która, jak mu się wydawało, Janosik, „hetman“ zbójecki, król Tatrów, zaśpiewał, jakby chciał, aby mu raz ostatni echem granity i lasy się odezwały:

„Bratowie, bratowie, kochani bratowie,
Budom nam rubali głowicki katowie.“

Ta piosnka, w istocie śpiewana przez rekrutów, wybierających się w drogę, obudziła Jaśka. Sen zniknął, ale zostało po nim dziwne wrażenie; wstając z ławeczki pod jaworem, przeżegnał się chłopiec i mimowoli dreszcz go przebiegł.

Dniało już: słońce czerwieniło się i złociło i oblewało purpurą wierzchy wysokie, a po lasach grało światło jakieś zielonawozłote i leciało smugami po reglach. Budziło się wszystko: tatrzań-

skie jastrzębie zrywały się do lotu, gdzie niegdzie pasterze poczynali już śpiewać i dzwonki bydła wygnanego na pastwiska dźwięczały w czystem powietrzu. Świat cały podgórski pachniał świeżością, czarował pięknem, oddychał swobodą.

Dziś musiał Jasiek ruszyć ku tym dolinom, na których leżały grube mgły, ku tym równym, dusznym dolinom.

II.

Upłynęły dwa miesiące, jak Jasiek poszedł do wojska. Nie było mu tak bardzo źle, bo był zręczny i sprytny, ale tęskniło mu się do gór kochanych, do rodziców, do Marysi, do swobody.

Jednej nocy, cichej i jasnej, w początkach grudnia, stał na warcie na „Kopcu“. W dali rysowały się w konturach ostrych Tatry na ciemnem tle niebieskiem; już śnieg srebrzył ich wierzchy i ubocza. Z karabinem na ramieniu stał żołnierz nieruchomo i patrzał ku nim: tam jego kraj, jego życie, jego Marysia kochana...

Z południowego wschodu wiał łagodny, ale mroźny wiatr; ten sam wiatr zwiewał śnieg z turni, kołysał borami smereków i buków, szeleścił liściami jaworu zielonego przy chacie Marysinej. Jaśkowi zdawało się, że w szumie tego wiatru słyszy głos gęślików Sabadowych, przeciągłe śpiewy juhasów i hukanie dziewcząt po halach i dzwonki śpiżowe bydła; szelest liści kasztanów, które rosną w twierdzy na kopcu, zmienił mu się w imaginacyi w szmer liści starego jaworu z nad chaty Marysi. Wciągał w siebie powiew tego wiatru od gór, jakby w nim chciał swoje czyste powietrze odnaleźć. Marzył: widział się ze strzelbą w ręku gdzieś w wysokich, urwanych, wiszących ponad przepaściami turniach w pogoni za kozicami; to znowu na zielonej polanie przy bydle. Tak tam było jasno, słońce takie złote oblewało góry, tak tam było wesoło od śpiewu i swobodnie poza lasami i rzekami. Przypomniały mu się te noce letnie, jasne i ciche, których poważny' uroczysty spokój przerywały tylko od czasu do czasu dzwonki; w szałasie koło ogniska siedzieli juhasi, widział ich wszystkich: Maćka starego bacę, Bartka, Staszka i juhaski Hanusię, Jagusię i swoją Marysię serdeczną; a nad ich głowami strzelały w górę takie skały granitowe, a nad temi skałami niebo się rozwieszało jakieś bliższe ziemi, niż na dolinach.

Nieraz w szałasie tak tańczyli wesoło: zdawało się Jaśkowi, że słyszy ostre tony Bartkowych skrzypców, w uszach brzmiały mu piosnki pasterzy. A czasem siedli koło ogniska i słuchali gadek starego bacy o zaklętych skarbach, o dziwożonach, o brodatych mnichach, co się koło Morskiego Oka przechadzają nocami, o „hetmanie“ zbójeckim Janosiku. Gdy wiatr zaświszczał silniej w szparach szałasu, Marysia przytulała się ku Jaśkowi z trwogą przed tym światem nadludzkim, góry napełniającym. A czasem taka burza przyszła, że się drzewa łamały, pioruny utrącały całe turnie, a od grzmotów drżały góry; ale potem znów było jasno, cicho i swobodnie.

Swobodnie było; nie było ani ciasnych murów kasarni, ani kaprali, ani służby ciężkiej. Wiatr z ojczystej strony, zmrożony w srebrze śniegów tatrzańskich, szeptał mu w ucho: „Tam tak dobrze w górach, tam wesoło, tam Marysia.“ Liście kasztanów mówiły mu: „Rzuć karabin, uciekaj. Tyle lat przed tobą ciężkiej niewoli..“ Ale w tej chwili przyszedł mu na myśl sen pod jaworem, Janosik pod szubienicą i on sam w okowach. Ucieknie? To go złapią i w areszt wpakują. A wiatr z ojczystej strony szumiał mu: „Tyle lat przed tobą ciężkiej niewoli... od gór daleko... od Marysi kochanej daleko... Lepsza śmierć, niż niewola...“

W dali białe Tatry malowały się na jasno w złoconem gwiazdami tle nieba, jego góry rodzinne, umiłowane; wiatr wiał od nich cichy, mroźny, jak powietrze, z którego pochodził...

Jaśkowi zrobiło się dziwnie smutno i tęskno. Niewola tak ciężka, tęsknotą tak silna! Przyłożył lufę do piersi, pocisnął cyngiel: huknął strzał i kulą przez pierś przeszyty padł syn Tatrów srebrnych i borów smerekowych.

Nad nim jasne od gwiazd niebo się rozwieszało; tam, daleko bieliły się góry. „Mój Boże — szepnął — świat taki pikny, séroki, a mnie juz nic do niego...“

Kiedy zaalarmowani żołnierze przybiegli, znaleźli Jaśka zimnego i sztywnego; pochowano go w niepoświęconej ziemi, bo za bardzo tęsknił.

Kiedy w czas niedługi stary, zielony jawór z nad Marysinej chaty runął rozdarty piorunem, śpiewali górale, rąbiąc jego konary:

„Pogniły jawory i limbowe lasy,
Kany się podziały nase dobre casy?“

NASZ WIEK.

To czas letargu twej miłości, ziemio!
Jak martwe głazy, skryte w wieków pleśni,
Twe serca... drzemią!
Nie rozbudziły ich czarowne pieśni,
Nie rozbudziły ich oręża szczęki —
To czas letargu, to czas twojej nędzy,
To wiek zwątpienia, to wiek twojej męki —
To wiek pieniędzy!!

Korczak.

OBAWY PRZELUDNIENIA.

W ostatnich czasach świat naukowy z szczególniejszem zajęciem zwrócił się do badania praw i czynników, wpływających na wzrost ludzkości. Zjawisko to naturalne, większość bowiem społeczeństw europejskich, znajduje się w owem miejscu swej kolei rozwojowej, w którem objawia się przeludnienie. Kwestya ludnościowa stanowi bezwątpienia jedno z najdonioślejszych zagadnień w dziedzinie nauk społecznych, od rozwiązania którego zależy postęp i rozwój całej grupy nauk objętej nazwą socyologii.

Dotychczasowe usiłowania nauki, dążące do rozwiązania teoretycznie kwestyi ludnościowej i określenia prawideł wzrastania ludności doprowadzały dotąd zawsze do mylnych rezultatów, z powodu, że przy badaniach odnośnych mało uwzględniano najnowsze wyniki tych umiejętności, które tutaj ważne usługi oddać mogą, a mianowicie medycyny, biologii i ekonomii społecznej. Umiejętności te w połączeniu jedynie ze statystyką ludnościową doprowadzić mogą badania w tym kierunku podejmowane do pozytywniejszych rezultatów.

Punktem wyjścia dla badań nad wzrostem ludności są rezultaty, jakie zdobyła statystyka, które nie przesądzając stanowiska jakie nauka ta w przyszłości jeszcze zająć może, zdobyły już dziś nauce pewnik, że zjawiska, jakie się objawiają w biegu ludzkości, należą do tego rodzaju stosunków, w których się regulują według stałych prawideł prawa natury i wolne działanie człowieka.

Błędnem jest zupełnie często powtarzane twierdzenie, że człowiek i natura są pojęciami od siebie odgraniczonemi. Człowiek, jako produkt przyrody jest z nią tysiącem nici związany i jedynie duchowością swoją stoi ponad innemi jej tworami, ztąd też wszystkie jego funkcye życiowe określone są wyłącznie prawami natury. Na gruncie pozytywnych badań przyrody stoi człowiek na równi nietylko ze zwierzętami i roślinami, lecz także tworami nieorganicznemi. Anatomia i fizyologia człowieka tak dalece zbliżoną jest do tegoż rodzaju umiejętności, odnośnie do innych organizmów, że tylko porównawcze badania wobec dzisiejszego stanowiska wiedzy ludzkiej doprowadzić mogą do pewniejszych wyników.

Rozwój ludzkości podlega stałym i niezmiennnym prawom ewolucyi materyi i inaczej być nie może, każda jednostka bowiem stanowiąc cząstkę owego niezmierzonego oceanu materyi, nie może być wyjętą od ogólnych praw przemiany. Człowiek przez swe uposażenie duchowe, stanowiąc wyjątek w świecie zwierzęcym nie podlega też wskutek tego podobnie jak inne organizmy zupełnie bezwzględnie prawom przyrody, lecz ma możność wyłamywania się pod pewnym względem z pod tych praw.

Jak każdej organicznej istocie, tak i człowiekowi właściwą jest możność swobodnego rozmnażania się, bez względu na istniejące środki utrzymania. Rośliny i zwierzęta idąc za tym popędem rozrodczym, giną w znacznej części dla braku przestrzeni i żywności. U człowieka natomiast, stoi na straży tego instynktu rozum, który mu nakazuje hamować swe popędy. Nadmierny jednak i nieustanny wzrost ludności w pewnych krajach, wskazuje jak potężną jest u człowieka dążność prokreacyjna. Systematyczne w tym kierunku badania wykazały, że ludność, której wzrost nie napotyka na przeszkody, w okresie 25 lat może się podwoić. Okoliczność ta oczywiście zwróciła na siebie uwagę świata naukowego — ukazywała bowiem w dalekiej wprawdzie przyszłości, w każdym jednak razie groźną ewentualność, że dla następnych pokoleń braknie na ziemi miejsca i żywności.

Obawy swoje wyłuszczył pierwszy T. R. Malthus w swej rozprawie o ludności [1]), w której wyłożył głośną swą teoryę. Aczkolwiek prawa przez niego postawione są znane, to jednak

[1]) „An inquiry of the principle of population. 1786.“

dla ciągłości przedmiotu konieczną jest rzeczą przytoczyć tu takowe. Prawa te brzmią:

1. Ludność wzrasta w stosunku geometrycznym, podczas gdy równocześnie środki utrzymania wzrastają w stosunku arytmetycznym.

2. Ludność wzrasta *niezmiernie*, gdy środki utrzymania powiększają się.

3. Przeszkody, regulujące wzrost ludności i utrzymujące ludność na poziomie środków utrzymania, są: przymus moralny, występek i nędza.

Myślą przewodnią teoryi Malthusa jest założenie, że rozwój i wzrost ludności jest w ścisłej zależności od istniejących środków utrzymania. Prawa te orzekają, że płodność ludności nie jest niezmienną i tą samą zawsze i wszędzie, ale zależy od przyrodzonych warunków, wśród których żyją poszczególne ludności, od ich fizyologicznego i cywilizacyjno-umysłowego rozwoju. Teorya Malthusa w skutkach swych stawia ludzkości wcale niepomyślny horoskop. Ztąd też wielki myśliciel, ukazawszy widniejące na horyzoncie ludzkości kataklizmy usiłuje wskazać na nie lekarstwo. Jako środek zaradczy mający na celu oddalić grozę przeludnienia stawia Malthus prewencyą, a małżeństwo jako legalną formę rozpłodu, uważa dla niektórych warstw społecznych, zwłaszcza klasy robotniczej, za rzecz zbytkową. Uznając jednak niemożebność zastosowania tej rady w praktyce, wskazuje ostatecznie wstrzemięźliwość w stosunkach płciowych, jako jedyny środek mogący zapobiedz nadmiernemu przyrostowi ludności biednej.

Oto szkic teoryi Malthusa, którego wywody dawszy początek i impuls naukowemu traktowaniu kwestyi ludnościowej, stanowią po dziś dzień jeszcze jabłko niezgody między uczonymi, oczywiście w tych tylko punktach, w których racyonalność ich została uznaną.

Nowsze poszukiwania wykazały jednakowoż, że prawa przez Malthusa ogłoszone są błędne, że w rzeczywistości nie znalazły potwierdzenia, i że jedynie w zasadniczem twierdzeniu, że wzrost ludności ograniczony jest środkami utrzymania, pisarz ten stanął na rzeczywistym gruncie badanej kwestyi. Bronią do dziś dnia niektórzy poglądów Malthusa, wielkie powagi naukowe jak Darwin i Mill powołują się na jego wywody, mimo to jednak badania szczegółowe *Queteleta* doprowadziły do rezultatów, które stano-

wczo i to w niektórych zasadniczych punktach sprzeciwiają się twierdzeniom Malthusa. W dziele: «Sur l'homme...» wyprowadza Quetelet następujące prawa:

1. Ludność posiada możność do wzrostu w postępie geometrycznym, ponieważ jednak wzrost ten napotyka na przeszkody, przeto dąży ona do stanu równowagi.

2. Przeszkody wzrostu rosną w stosunku prostym z kwadratami prędkości wzrostu ludności.

Prawa te wyrażają myśl, że przeskody naturalne wzmagają się się szybciej niż przyrost, zkąd naprowadzają na aksiomat, że wzrost ludności jest ilością posiadającą pewne granice.

Prawo Queteleta stawia kwestyą ludnościową na zupełnie odmiennem stanowisku, dając nauce do badań w tym kierunku nowy punkt wyjścia.

Uwzględniając dotychczasowe wyniki badań Malthusa i Queleta, poczęła nowsza nauka szukać przyczyny niezgodności teoryj stawianych z faktycznym stanem rzeczy. Widocznem było, że wchodzi tu w grę wpływ innych jeszcze, dotąd nieuwzględnianych przyczyn i zjawisk społecznych, które koniecznie uwzględnienia się domagały. Rozwój nauk ekonomicznych i teorye największych ekonomistów, omawiające ścisły związek, zachodzący między produkcyą a konsumcyą i ograniczony stosunek podaży pracy i popytu, nadto ubóztwo klas pracujących i wzmagająca się tychże nędza, wywołujące obszerne traktowanie tej kwestyi, zwróciły uwagę uczonych Carey'a, Düringa i Lista, że kwestye ekonomiczne najściślej są związane z kwestyą ludnościową i wspólnego traktowania wymagają, i doprowadziły ich do przekonania, że główną wadą poprzednich badaczy, była właśnie okoliczność, że nie uwzględniali oni znaczenia pracy jako czynnika produkcyi, jako siły wytwórczej. Malthus był fizyokratą i ztąd pochodzi niedokładność i główny błąd teoryi. Ekonomiści wspomnieni wychodzą z poglądu zasadniczego, że pomnożenie ludności powoduje spotęgowanie sił wytwórczych, że zatem z gęstością zaludnienia wzrasta jej dobre położenie, dochodzimy tu zatem do prawa głoszącego, że przy łączeniu się ludzi, potrzeby ich wrastają w prostym stosunku do ich liczby, podczas gdy wytwórczosć ich rośnie szybciej. Prawo to stoi w sprzeczności zupełnej z prawem Malthusa. Wzór jego, obrazujący wzrost środków utrzymania przez postęp arytmetyczny zupełnie inaczej obliczony. Tak się przedstawia dzisiejsze

stanowisko kwestyi ludnościowej na polu teoryi. Nauka nie wypowiedziała tu ostatniego słowa i termin ten nie jest jeszcze bliskim — w każdym razie jednak w obec tak silnej podstawy badań, w obec tego pięknego punktu wyjścia, oznaczenie głównych praw wzrostu ludności nie przedstawia wielkich trudności i chociaż drobne okoliczności pozostaną zawsze niewyjaśnione, jako rezultat przyczyn dla nauki nieuchwytnych, główne zarysy pozostaną niewzruszone a zasadnicze myśli tychże, posłużą do wykazania o ile w dzisiejszych warunkach społeczeństwa obawiać się mogą przeludnienia.

Przystępując do bliższego wykazania tych poglądów, ruch ludności podzielić wypada według systemu dziś przez naukę przyjętego na ruch *naturalny* i ruch *społeczny*. Przez pierwszy rozumiemy urodzenia i zejścia, przez drugi emigracyę i immigracyę.

O ile podział ten odnosi się w ogólności do ruchu ludności o tyle zastosować się daje w szczególności do wzrostu ludności. Cyfra ludności jest pojęciem podlegającem ustawicznym zmianom. Nawet w przeciągu jednego roku okazuje się nieznaczny wzrost ub ubytek ludności. W każdyn razie ludność nigdy nie znajduje się w stanie niezmiennym a zmiany wszelkie tu zachodzące tak pod względem cyfry ludności jak i miejsca rozmieszczenia i gęstości zaludnienia są nader rozmaite i od różnorodnych czynników zawisłe. Zmiany te badane w pewnych okresach czasu na podstawie spisów ludności wykazują w rezultacie zawsze albo wzrost albo zmniejszenie się ludności. Studyum tych zmian stanowi część istotną nauki o ruchu ludności. Ma ona na celu badać nietylko stopień wzrostu ludności wynikający z nadwyżki urodzonych nad zmarłymi, lub przypływu obcej ludności lecz badać także wzrost poszczególnych części składowych ludności a w szczególności okoliczności wpływajacych korzystnie lub niekorzystnie na wzrost ludności.

Wzrost naturalny powstaje wskutek stałej w pewnym oznaczonym przeciągu czasu przewyżki urodzeń nad wypadkami śmierci. Już doświadczenie uczy, że wskutek wrodzonego rodzajowi ludzkiemu popędu prokreacyjnego ludność zwyczajnie tą drogą wzrasta, jeżeli żadne nadzwyczajne zewnętrzne przyczyny lub wpływy nie staną temu na przeszkodzie. Ten wzrost ludności zawisłym jest jednakowoż od wielu okoliczności i przyczyn które mając swe źródło w istniejących warunkach społecznych, wpływająbez-

pośrednio na wielkość cyfry rocznego przyrostu i normują ją w końcu według pewnych prawideł. Nad okolicznościami temi i przyczynami zastanowimy się w dalszym ciągu, obecnie przystąpimy do określenia praw naturalnego przyrostu.

Trzy przedewszystkiem czynniki odgrywają tu najważniejszą rolę: 1) strona fizyczna (organizm indywidualny, wiek rozpłodu); 2) ogólny stan cywilizacyjny danego społeczeństwa (warunki ekonomiczne socyalne i polityczne; 3) zależność od ilości środków pożywienia.

Te naturalne prawa wzrostu ludności są ograniczone przez warunki społeczne, które powodują zwykle pewne bardzo znaczne zboczenia od praw naturalnego wzrostu i w rezultacie są przyczyną, że ścisłe matematyczne oznaczenie rzeczywistych prawideł wzrostu ludności należy do najtrudniejszych dotąd jeszcze nierozwiązanych zagadnień w kwestyi ludnościowej.

(C. d. n.)

Wł. Prokesch.

ARTUR BARTELS.

(WSPOMNIENIE POSMIERTNE).

Na tle znudzonego i apatycznego miasta, na tle szablonowych i kwaśnych figur high-lifu, ociężałego mieszczaństwa; na tle wielkoświatowej komedyi małego Krakowa — postać Artura Bartelsa tworzyła dziwnie miły kontrast. Był to prawy i serdeczny Litwin, wolny od tego wszystkiego, co trąci fałszem, przesadą i chorobliwością. Posiadając popularne w kraju imię, jako piosenkarz, — nie dął się i nie chorował na wielkość. W stosunkach towarzyskich łatwy, miał on w sobie coś z serdeczności i humoru Radziwiłła Panie Kochanku. Ten sam niefrasobliwy humor, wesołość iście polska, werwa niepospolita i zapas paradnych anegdot. Jak ognia, bał się ludzi nudnych, którym prawie w każdej piosence musi dociąć.

W wierszu „Lekki humorysta“ (druk. w *Przeglądzie lit. art.* 1884 r. Nr. 21) najlepiej charakteryzuje siebie Bartels. Nie przystrajał się nigdy w togę takiej powagi, „jak bonz lub manda-

ryn chiński“, lubił „wznosić się nad poziom głupców czeredy“, czcił „to tylko, co czci godne“, nie umiał być „ślimakiem“ „faryzeuszem i dewotem“, gardził wreszcie egoistami, których aż „poczwórnymi“ nazywa.

Nie lubił także skarżyć się przed nikim, choć „niejedną wypił żółci własnej i łez beczkę“. Nie „klął nigdy przebytej w ciszy drogi grząskiej i ciernistej“. Zamiast płakać, wołał śmiać się z tych, co go nie zawsze pojmowali, każdą jego myśl, każdy ruch biorąc za nowy objaw humoru i wołając:

. . . . . . humorysta!
Niechże go piorunów trzysta,
Oto panie koncepista,
Lekki, lekki humorysta!

Urodzony na Litwie w r. 1818 i wśród jej puszcz wychowany, Bartels zrósł się całą duszą z tamtejszemi stosunkami, ludźmi i przyrodą. Zarządzając ordynacyą dóbr Birże, połączony z domem Radziwiłłów i Tyszkiewiczów, posiadał szeroko rozgałęzione znajomości i wpływy. Żył też przez długie lata spokojny i szczęśliwy, nie przeczuwając, że opuści kiedyś ukochaną Litwę i złoży głowę zdala od bliskich swemu sercu. A chwila ta zbliżała się coraz bardziej. Wrażliwy umysł Bartelsa nie mógł się pogodzić ze zmianą stosunków po ostatniej zawierusze politycznej. Jakoż wkrótce opuścił piosenkarz litewskie bory i spotykamy go w Warszawie. Lecz gwar stolicy nie ukoił jego serca. Bartelsa dławiła i tutaj, jak na Litwie, zmieniona atmosfera; pragnął odetchnąć innem powietrzem i wśród stosunków znaleźć się innych. Porzuca więc Królestwo, Warszawę i przenosi się do Krakowa. Tu pozyskał od razu ogólną miłość i szacunek. Rysownik, muzyk i piosenkarz w jednej osobie, Bartels cieszył się dużą popularnością. Kiedy powstało w Krakowie Koło literacko-artystyczne, był główną jego siłą atrakcyjną i duszą zgromadzeń. Grał, śpiewał, bawił, rozrywał nudę, porywając wszystkich swoją werwą i humorem. Lecz wśród najwyższej wesołości nie zapominał o Litwie, o której lubił opowiadać. Zawsze mu tam grał głuszec na tokowisku, szumiały poważne puszcze i pachniał miód litewski. W swej większej a bezpretensyonalnej pracy: „Tydzień poleski, ustęp z życia myśliwego na Litwie wyd. staraniem lwowskiego *Łowca*, — powiada:

Niech sobie, kto chce, ziemi swej piękność rozgłasza,
Nie masz, nie masz, powtarzam, jak ta Litwa nasza!
I gdy każdemu chlubnie Ojczyzny być synem,
Ja też Bogu dziękuję, że jestem Litwinem,
Że mi się zróść pozwolił z tym ludem i krajem.
Całem sercem i duszą, mową i zwyczajem.

Jako piosenkarz i satyryk, Bartels przedstawiał ciekawe zjawisko w dzisiejszych czasach ogólnego rozgoryczenia i zjadliwości. Umiał gniewać się bez żółci, szydzić bez złości i jadu, chłostać bez roznamiętnienia i tego zimnego sarkazmu, który serca zabija. Jakieś serdeczne ciepło wieje z każdego wiersza i ojcowskie pobłażanie. Satyra seryo, poważna, mniej mu się udaje. Bartels z temperamentu i talentu jest przedewszystkiem piosenkarzem. Lekkie, żartobliwe piosnki snują mu się łatwo i najbardziej odpowiadają jego usposobieniu. W popularnych swych utworach karci nałogi szlachty, ułomności i słabostki, ze szczególnem upodobaniem atakując płeć piękną, z której ciągle drwi, wyśmiewa fałszywe ambicye, niepraktyczne wychowanie, czczość serca i umysłu. Już to biednym córom Ewy bardzo dokucza i szydzi z nich, bodaj z miną „złośliwego“ wujaszka, co lubi drażnić swoje kuzyneczki i z niemi się sprzeczać. W wierszu „Z domu Dziurdziulewiczówna“ wybornie karci fałszywe pretensye arystokratyczne:

. . . .

Tatko mój był niesłychanie
Mądry, i nie koniec na tem,
Bo raz dał takie śniadanie,
Że aż został deputatem.
Mówił do mnie „to rzecz mała
Niedość być deputatówną,
Trzeba, żebyś ton swój miała, —
Jesteś Dziurdziulewiczówną!

A za tatkiem moja mama,
Co mnie też bardzo pieściła,
Jak była rozumna sama,
Tak i mnie też wyuczyła:
Żem szlachcianką dawnej daty,
Księżnom i grafiankom równą,

Że król Popiel był żonaty
Z jakąś Diurdziulewiczówną!

. . . .

. . . . . . umiem, proszę spytać,
Rzeczy nietrudne pojęciu,
Wcale nie źle pisać, czytać
I rachować do dziesięciu;
Niewiele mi w głowę wpadło,
Ale mnie to wszystko równo,
Mogę być głupią, jak sadło,
Będąc Dziurdziulewiczówną!

Wielkiej popularności dobiły się niektóre piosnki Bartelsa, jak „Kwestya wschodnia". Bardzo głośnym był w swoim czasie „Departament niższej Sekwany", śpiewany niegdyś po dworkach i pałacach, a żartobliwa piosnka „Pod pantoflem" nie zchodziła z ust osób młodszych i starszych. Tu jeszcze należy serdecznem ciepłem i humorem owiana „Sprzeczka Mociumdzieja z Mociadziką":

. . . .

Ale ja wzajem Imości
Przypomnę niektóre grzechy, —
Kto po śmierci Jegomości,
W miłostkach szukał pociechy?
Kto, choć pości na oleju,
Lubi baliki z muzyką?
— Kłamstwo Moci Dobrodzieju!
— Prawda szczera Mocia Dziko!

Kto nie pamięta tej „Sprzeczki!". Z innych piosnek, wymieniam „Dzionek obywatelski", w którym bardzo dowcipnie przedstawia Bartels „Trudy gospodarskie" niejednego:

Pietrek! która godzina?
— Po pierwszej panie.
Nakrojona wędlina,
Zastawione śniadanie...
— Co nadworze dziś rano?
— Deszcz pada niewielki...
— Przepadło moje siano!
Dobądź z szafy butelki!

— Pietrek! która godzina?
    — Kwadrans na pierwszą, panie.
— Jeść mi się chcieć zaczyna,
    Dalipan niesłychanie.
Co na dworze? — pogoda?
    — Deszczu ani kropelki...
— Niema deszczu, to szkoda!
    Daj mi z tamtej butelki!

I tak dalej! Nareszcie:

. . . .
— A śpi pani sędzina?
    — Śpi... niech pan też spać idzie.
Idę, trafię bez kija,
    Ale tak do poduszki,
Pietrek, Ave Maria!
    Wytnę jeszcze staruszki,
Gratias plena Maria!
    Jeszcze raz do poduszki!

Tak to karcił, strofował i szydził Bartels, wystrzegając się jaszczurczych ukąszeń i osobistych wycieczek. Dla wyraźniejszego scharakteryzowania Bartelsa w pewnej mierze, wspomnę wreszcie o wierszu „Anioł i djabeł", w którym autor powiada, że „dwie sprzeczne siły, dwie przeciwne władze, niosą mu rady i we dnie i w nocy":

Anioł mi swoje: modlisz się za mało,
Słabo obchodzisz uroczyste święta;
A djabeł swoje: co się z tobą stało?
Nie znasz co wino, karty i dziewczęta.
Ja tylko jedną rzecz ceniąc: mój spokój,
I ową ciszę, lecz ciszę jak w grobie..
Mówię do djabła: Daj mi święty pokój,
A ty aniołku idź do djabła sobie!

W tem skromnem wspomnieniu pośmiertnem staram się tylko scharakteryzować zmarłego piosenkarza, nie zaś oceniać jego działalność. Ś. p. Bartels tworzył dużo a mało ogłaszał swych prac drukiem, byłoby więc na ocenę zawcześnie. Tylko u niektóre swoje piosnkip uścił w świat, jeżeli się nie mylę w dwu

wydaniach: warszawskiem i lwowskiem. W ostatnich czasach kilkanaście utworów Bartelsa, satyr i piosnek zamieścił p. K. Bartoszewicz w „Perłach humoru polskiego“ (Tom II) i w kalendarzu „Ananas“ (r. 1885 i 1886) oraz w „Przeglądzie lit. art.“ („Lekki humorysta“). Probował też Bartels napisać obrazek sceniczny na tle wiejskich stosunków p. t. „Goście“ (Kraków, 1875 r.) a temu parę lat, w pierwszych chwilach „Gazety krakowskiej“ zasilał ją korespondencyami „Z miasta“, lecz w prozie topniał jego humor.

W tece pozostawił wiele nieznanych prac, które zapewne ukażą się w druku staraniem rodziny.

Cześć Jego pamięci!

J. Z.

TEODORA

dramat w pięciu aktach przez **Wiktoryna Sardou.**

Przekład **Zygmunta Sarneckiego** *).

OSOBY:

Andreas.
Justynian.
Belizaryusz.
Marcellus, centurion gwardyi.
Karibert.
Nicefor.
Eufratas, naczelnik enuchów.
Endemon, prefekt miasta.
Faber., *Styrax.*, *Tymokles.*, *Agaton.* — spiskowi.
Kalchas, woźnica cyrkowy, niebieski.
Likostrates.
Tryboniusz, kwestor.
Pryskus, sekretarz cesarza.
Paweł, biskup Alexandryjski.
Amru, pogromca zwierząt dzikich.
Mundus, wielkorządca Illyryi, wnuk Attylli.
Konstanciolus, syn jego.
Orytes, poseł perski.
Petros, wielki skarbnik, ojciec Nicefora.
Michał., *Alexy.* — niewolnicy.
Kat.
Mistrz ceremonii.
Teodora.
Antonina.
Tamyris.
Iphis.
Calliroe.
Macedonia.

---

*) W obec scen zastrzegają się prawa tłumacza.

AKT I.

Wielka sala pałacowa. W głębi galerya o podwójnem przecięciu; w niej na lewo wejście do kościoła. Głąb stanowią arkady opatrzone bogatemi kotarami.

Na lewo pokoje cesarzowej. Na prawo drzwi, wiodące do apartamentów cesarza.

Na scenie, na lewo, tron (w kształcie łoża) zasłany kobiercami, drogiemi materyami, futrami, poduszkami. Oparcie na wzór rozwartego pawiego ogona. W pewnej odległości od tronu, na lewo i prawo, dwa taburety wschodnie, wykładane perłową masą. Tuż przy łożu na lewo, tarcza mosiężna służąca za dzwon.

Na przodzie sceny, po podniesieniu zasłony spostrzegamy tylko Eufratasa i Kariberta. Patrycyusze, eunuchy, gwardziści, zapełniając przecięcie za arkadami, oczekują na ukazanie się cesarzowej.

Słychać organy, brzmiące hymnami religijnemi.

Obraz I.

SCENA I.

KARIBERT, EUFRATAS, (*później*) BELIZARYUSZ, MUNDUS, PAWEŁ, ORYTES, PETROS, NICEFOR, (*później jeszcze*) MARCELLUS.

EUFRATAS (*z długą białą laseczką, w dłoni, zatrzymuje Kariberta przybywającego z głębi*).

Powoli młodzieńcze. Dokąd spieszysz?

KARIBERT. Wszakże tutaj cesarzowa udziela audyencyj.

EUFRATAS. A masz pozwolenie wejścia?

KARIBERT. Oto jest. (*podaje znaczek z kości słoniowej*). Udzielił mi je wielki mistrz dworu.

EUFRATAS. Dobrze. — Jej cesarska świątobliwość składa wieczorne modły w kaplicy, u stóp Pana zastępów! (*Spogląda na znaczek otrzymany*). Jesteś Gallem?

KARIBERT. Frankiem powiedz raczej.

EUFRATAS. A z jakiego miasta?

KARIBERT. Z Lutecyi.

EUFRATAS. Gród Paryżanów, gdzie cesarz Julian tak długo przebywał?

KARIBERT. Tak.

EUFRATAS. Było to dlań karą za apostazyę. Powiadają, że istne bagno ta Lutecya?

KARIBERT. Bagno?!... niekoniecznie. No! co prawda deszczów u nas nie braknie.

EUFRATAS. Dobrze więc uczyniłeś, opuszczając ojczyznę żab dla wielkiego Konstantynopola, zwanego źrenicą świata. A co sprowadza cię z tak daleka?

KARIBERT. Poselstwo do chwały - pełnego cesarza. Chciałem jednak wprzódy złożyć pokłon cesarzowej.

EUFRATAS. Wybornie młodzieńcze; mądrze sobie poczynasz. Mniemam, że nie przybywasz z próżnemi rękami?

KARIBERT. Jeszcze by też!..... Kobiety w Gallii, słyną z pięknych, płowych włosów, które u was są modne pono. Przywożę zatem dla cesarzowej, prócz innych cennych podarków, cały ładunek najcieńszych warkoczy, różnych odcieni, od złotych jak słoma, do rudych jak miedź.

EUFRATAS. Dar twój mile będzie przyjęty. Nasza pani boska, dba wielce o te sztuczne stroju ozdoby.

KARIBERT. Bez których jednak obejść by się mogła, słynie bowiem z piękności.

EUFRATAS. Niezawodnie.

KARIBERT. Mówią u nas nawet, że właśnie ta piękność była jedynym powodem jej wyniesienia; że urodzenie nie przeznaczało jej w udziale purpury cesarskiej.

EUFRATAS. W istocie.

KARIBERT. Była córką niedźwiednika w hipodromie?

EUFRATAS. Tak, Akaciusza.

KARIBERT. Od dziecka brała udział w igrzyskach cyrkowych?

EUFRATAS. Od lat czternastu!... Tak jak mnie widzisz młodzieńcze, patrzyłem na nią, na boską Teodorę, stojącą na koniu w pędzie i igrającą w powietrzu pomarańczami... Ale to stare dzieje, o których lepiej nie wspominać.

KARIBERT. W samej rzeczy, dziwne!... dziwne, że cesarz pojął za żonę hecarkę!... Zwłaszcza, że obmowa...

EUFRATAS. Milcz młodzieńcze! Gallowie zbyt łatwo szermują językiem. Trzymaj swój na wodzy, a tego co usłyszysz o przezacnej i wielce pobożnej Teodorze nigdy nie powtarzaj. Dary jej umysłu i wdzięki, usprawiedliwiają wybór naszego wzniosłego cesarza. *(Po chwili).* Co do etykiety, dam ci także jeszcze jedną radę. Kiedy przypuszczony zostaniesz do najwyższego zaszczytu ucałowania nożek naszej monarchini, pamiętaj rzuć się na kolana. To rytuał ustanowiony przez samego cesarza.

KARIBERT. Wiem o tem... potrzeba paść na twarz.

EUFRATAS. Tak.

KARIBERT. Nie o zwyczajny pokłon chodzi, lecz o ubóstwienie.

EUFRATAS. Tak, tak właśnie. Formułą urzędową, zwracając mowę do cesarzowej, jest wyraz «Pani» albo «Augusta». Do cesarza masz mówić: «Panie mój» albo «Samowładco»... Co do mnie zaś...

KARIBERT. Chciałem cię właśnie o to zapytać!

EUFRATAS. Urzędowi memu odpowiada «szanowny».

KARIBERT. Jakiż urząd piastujesz?

EUFRATAS. Jestem naczelnikiem wewnętrznej straży pałacowej.

KARIBERT. Winszuję. *(Słychać organy za sceną).*

EUFRATAS *(kłaniając się patrycyuszom, którzy wchodzą. Rozmaita gradacya ukłonów).* Niech szczęście sprzyja jaśnie oświeconemu. *(Do innego).* Czcigodny, bądź pozdrowiony.

KARIBERT *(po cichu do Eufratasa).* Wszak to wszystko patrycyusze, nieprawdaż?

EUFRATAS. Tak. — Jak ty oczekują na audyencyę.

KARIBERT. Kto jest ten wysoki... tam... o postrzyżonych włosach?

EUFRATAS. Chwały-pełny Mundus, wnuk Atylli. Przyjął chrzest; powierzono mu wielkorządztwo Illiryi. Dalej satrapa w mitrze o trefionych włosach, Orytes, poseł perskiego króla Kozroesa; a starzec o siwej brodzie, to była eminencya Paweł, arcykapłan Aleksandryi, dziś zrzucony z biskupiego tronu. *(Wchodzą Petros i Nicefor).*

KARIBERT. A ten, przed którym wszyscy schylają się aż do ziemi... *(Petros przechodzi scenę i wchodzi do pokojów cesarza).*

EUFRATAS. Nikt przed nim dosyć się nie uniży... *(Pochyla się ku przybyłemu).* To jego nieskazitelność, prześwietny Petros Barsyanus, wielki skarbnik państwa. Udaje się do cesarza.... Oho! w jakich łaskach!... Młodzieniec, który mu towarzyszył, to syn jego Nicefor, jeden z naszych patrycyuszów, którzy tworzą mody i przodują hulakom wyższego świata. *(Petros wyszedł — Nicefor pozostał).*

KARIBERT. A ten tam, mąż wyniosły, sam jeden na uboczu... wszyscy zdają się go unikać...

EUFRATAS. Och!... to Belizariusz!

KARIBERT. Wódz?

EUFRATAS. Tak.

KARIBERT. Wielki wódz?

EUFRATAS. Tak, ale w niełasce.

KARIBERT. On?

EUFRATAS. W najzupełniejszej niełasce.

KARIBERT. Czy być może?

EUFRATAS. Żonie jego, ciągle dobrze widzianej przez naszą świętą panią, oddasz włosy, które przywiozłeś. Jest ona mistrzynią pałacu.

KBRIBERT. Zwie się?

EUFRATAS. Antonina.

KARIBERT. Ach! tak; i o niej słyszałem; i jej sława doszła do nas. Dawna towarzyszka cesarzowej z hipodromu, córka woźnicy?

EUFRATAS. I wróżki.

KARIBERT. Niegdyś statystka w pantominach cyrkowych.

EUFRATAS. Dziś patrycia o złotym pasie.

KARIBERT. Chętnie go pono rozpina?...

EUFRATAS. Strzeż uszów Paryżaninie!

KARIBERT *(śmiejąc się)*. Jeżli wszystko prawda, co powiadają?

EUFRATAS. Wszystko!... nie. Ale strzeż się mój synu. W naszem mieście pełno szpiegów i tam właśnie, gdzie ich najmniej spodziewać się możesz.

KARIBERT. Dziękuję za ostrzeżenie.

EUFRATAS. Proszę cię, powtórz mi imię swoje.

KARIBERT *(odchodząc w głąb)*. Karibert. *(Później ujrzawszy Antoninę powraca)*.

EUFRATAS *(na przodzie sceny)*. Dobrze! *(wyjmuje tabliczki i pisze)*. «Karibert... Mieć na niego baczenie. Źle myślący».

SCENA II.

Ciż sami i Antonina.

ANTONINA *(wychodząc z pokoju na lewo do Eufratasa)*. Eufratas! Czy Augusta modli się jeszcze?

EUFRATAS *(z najgłębszym ukłonem)*. Jeszcze patrycyo; ale

nabożeństwo skończy się wkrótce. *(Antonina przechodzi w głębi, wszyscy się jej kłaniają).*

KARIBERT. Kto jest ta piękna osoba?

EUFRATAS. Mistrzyni pałacu.

KARIBERT. Antonina?

EUFRATAS. Żona Belizariusza.

KARIBERT. Ach! ach!... przedstaw mnie jej z łaski swojej!

EUFRATAS. Pozwól patrycyo temu młodemu barbarzyńcowi złożyć u stóp twych hołd uwielbienia.

ANTONINA *(patrząc nań z zajęciem).* Kto on jest?

EUFRATAS. Paryżanin, przybywający z Lutecyi, dla złożenia boskiej cesarzowej haraczu z włosów płowych.

ANTONINA. Ach!

KARIBERT. Przywiozłem tyle, że będę mógł ofiarować je także jedynej piękności, jedynej bogini, godnej współzawodniczyć z Wenerą-cesarzową.

ANTONINA. Przyjmę je z przyjemnością.

EUFRATAS *(po cichu).* Dobrze!... Doskonale!... Wybornie sobie poczynasz.

ANTONINA. Czy cesarzowa dopuściła już tego młodzieńca przed swoje oblicze?

EUFRATAS. Nie jeszcze.

ANTONINA. Będę miała zatem przyjemność przedstawić go sama.

KARIBFRT. Życie całe wdzięczny ci będę.

ANTONINA *(do Eufratasa).* Ten młody Gal jest istotnie przystojny.

EUFRATAS. Nie prawdaż patrycyo?... Oko... istny żar! A łydka... spojrzyj na łydkę.

ANTONINA *(po chwili).* Cokolwiekbądź mój Eufratasie, ci barbarzyńcy wyglądają piękniej i zdrowiej od naszych Rzymian.

EUFRATAS *(żywo do Kariberta).* Wybornie!... Młodzieńcze, doskonale! Jesteś już w łaskach mistrzyni pałacu.

KARIBERT. Czy tak?

EUFRATAS. O! znam się na tem! znam przedewszystkiem serce Antoniny. Od ciebie tylko zależy młody szczęśliwcze uszczknąć z nad jej pięknego czoła tyle gałązek myrtowych, ile laurowych wieńców nosi Belizariusz na głowie.

KARIBERT. Uszczknę ile tylko... ona zechce. *(Idzie w głąb).*

EUFRATAS. Takim! takim właśnie być potrzeba! *(d. s.)* Ten zuch dojdzie bardzo wysoko! *(Bierze tabliczki, wykreśla z nich co poprzednio napisał i pisze znowu).* Cóżem to mówił? hę!... «Mieć względy dla Kariberta! wielka przyszłość!» *(Organy grzmią w świątyni. Drzwi jej się otwierają. Poruszenie w głębi. Dworacy cofają się. Ukazuje się Teodora otoczona swoim niewieścim dworem, eunuchami, itd. Wszyscy zgromadzeni z nachylonem czołem padają na kolana w miarę jak przechodzi. Postępuje powoli przy odgłosie organu z książką do nabożeństwa w kość słoniową oprawną i siada na łożu. Kobiety z kadzielnicami ją otaczają. Antonina przy niej, podaje jej kulę kryształową dla odświeżenia rąk).*

SCENA III.

Ciż sami i Teodora.

TEODORA *(do Eufratasa, schylonego do ziemi).* Audyencya otwarta!

EUFRATAS *(podnosi się i idzie skłonić się przed satrapą, który zbliża się do cesarzowej i przyklęka na poduszce).*

TEODORA *(patrząc w ręczne zwierciadełko).* Ach! to ty Orytesie?

ORYTES. Przed wyjazdem z Konstantynopola, przychodzę uczcić słońce, życiem i światłem darzące.

TEODORA *(skinieniem ręki dając mu znak, aby powstał).* Odjeżdzasz satrapo?

ORYTES *(stojąc).* Dziś w nocy Augusto... Twój pokorny sługa błaga cię, abyś przyjęła na pożegnanie te klejnoty, aczkolwiek niegodne są Ciebie... *(Dwóch niewolników stawia kuferek napełniony klejnotami, które Antonina podaje cesarzowej w miarę tego co następuje).*

TEODORA. Przyjmuję je jako zakład pokoju, panującego od roku pomiędzy panem świata a królem królów. W zamian za klejnoty... *(mówiąc spogląda na każdy z kolei i zdobi niemi szyję, ramiona etc)*... udzielę twemu monarsze przyjacielskiej rady. Doszło uszu moich, że Kozroes mnie szkaluje. *(Poruszenie Orytesa).* Milcz! Dziwi się podobno, że Justynian rządzi się mojem zdaniem w każdem ważniejszem zdarzeniu... Powiesz królowi Persów, iż radzę mu, aby zgromadził wszystkie swoje żony.... ma ich trzy tysiące... i zapytał je co myślą o wojnie jaką mi wypowiedzieć pragnie.

ORYTES. O wojnie?

TEODORA. Nie zaprzeczaj! Jestem powiadomioną o wszystkiem. Jeźli choć jedna żona go odwiedzie od szalonego zamiaru, niech inne wypędzi, a tej tylko usłucha... ta jedna jest mu prawdziwie życzliwą. Żegnam cię satrapo!... a pozdrów odemnie twego króla! (*Orytes klęka, a potem odchodzi. — Belizariusz nieśmiało zwraca się do Eufratasa*).

EUFRATAS (*niechętnie*). Patrycyusz Belizariusz prosi...

TEODORA (*żywo*). Niech czeka! (*do Mundusa skinąwszy nań, aby się zbliżył*). Życzę ci szczęścia. Jesteś nareszcie wielkorządcą Illiryi?

MUNDUS. Dzięki tobie święta pani,—a niewolnik twój, u stóp twych, składa wyznanie wdzięczności bez granic.

TEODORA (*podając mu rękę do ucałowania*). Idź i pozostań nam wierny. Będziemy mieć o tobie staranie. (*Mundus kłania się i wraca w głąb. Paweł postępuje naprzód parę kroków. Skinieniem ręki Teodora go oddala. Każe Antoninie trzymać zwierciadło i przygląda się naszyjnikowi jaki włożyła — do Eufratasa*). Na dziś już dość. Oprócz Belizariusza nie przyjmę nikogo więcej. (*Karibert drgnął*).

ANTONINA (*żywo*). Pozwól mi pani prosić cię o jedno spojrzenie dla młodego cudzoziemca.

TEODORA. Gdzie jest?

ANTONINA (*dając znak Karibertowi, aby się zbliżył*). U twych stóp pani, jeśli raczysz na to pozwolić. (*Dworzanie, zawiedzeni w nadziejach cofają się. Kobiety na dany znak przez Antoninę odchodzą. Karibert przyklęka*).

EUFRATAS (*do siebie, ścigając wzrokiem wszystkie poruszenia Kariberta*). Dobrze! Bardzo dobrze! Teraz pokłon!... Doskonale!... Czeka go świetna przyszłość!

TEODORA. Czego od nas pragnie?

ANTONINA. Błaga cię, abyś przyjęła dary przywiezione z jego kraju, hołd czci pełen.

TEODORA. Jakiż to kraj? (*Antonina daje znak Karibertowi, aby odpowiedział*).

KARIBERT. Lutecya Augusto.

TEODORA. Miasto Juliana, wśród trzcin i sitowia?

KARIBERT. Tak Augusto.

TEODORA. Frankowie będą zawsze mile widziani na naszym dworze. Kto jest twoim królem obecnie?

KARIBERT. Childebert, syn Klodoweusza. Przez swego synowca, twego pokornego niewolnika, przysyła ci podarki.

TEODORA. A! pochodzisz z krwi królewskiej? Czy pobożna Klotylda żyje jeszcze?

KARIBERT. Tak, Augusto.

TEODORA. Jakże zwiecie waszą młodą królowę?

KARIBERT. Ultrogotą.

TEODORA (*śmiejąc się*). Dziwne imię!... Jestże piękną?

KARIBERT. Wydawała mi się piękną Augusto, dopokąd nie poznałem w tobie piękności prawdziwej.

EUFRATAS (*półgłosem*). Ślicznie!

TEODORA. Nie taki on dziki, jak się wydaje.

ANTONINA (*żywo*). Nieprawdaż?

TEODORA (*spogląda na nią z uśmiechem*). A ty jakże się zowiesz?

KARIBERT. Karibert.

TEODORA (*podając mu rękę do ucałowania*). A więc Karybercie, oddasz dary twe patrycyi, która je za mnie odbierze.

KARIBERT (*powstaje*). Błogosławię łaskę jaką mi czynisz.

EUFRATAS (*na stronie*). Podała mu rękę... i rękę także.

TEODORA (*wołając*). Nicefor!

NICEFOR (*podbiegając*). Pani!

TEODORA. Polecam naszego gościa twojej opiece. Zawiedź go do cesarza w mojem imieniu. Oprowadzaj po mieście. Bądź jego przewodnikiem... w pałacu, gdzie przy nas zamieszka.

NICEFOR. Dobrze Augusto.

TEODORA. Jutro odbędą się igrzyska w hipodromie. Zatrzymać dlań miejsce w loży cesarskiej.

EUFRATAS (*na stronie*). Taka łaska!... już!

KARIBERT (*do Teodory*). Niech Bóg zsyła ci tyle pomyślności ile wdzięczen ci jestem.

EUFRATAS (*rzuca się ku Karibertowi, oddalającemu się. Podnosi przed nim kotarę*). Ach! oświecony! Jakże szczęśliwym i dumnym się czuję, że mogę uważać się w Konstantynopolu za twego najstarszego przyjaciela. (*Kłania się nisko Karibertowi, poczem wychodzi głębią, spuszczając za sobą kotarę*).

(Ciąg dalszy nastąpi).

OJCIEC SZYMONA.

przez

Guy de Maupassanta.

Wybiła dwunasta. Drzwi szkoły się otworzyły i wybiegli tłumnie chłopcy, ciesząc się i potrącając, aby jak najprędzej być na dworze. Zamiast jednak, jak zwykle, szybko podążyć do domu na obiad, stanęli grupami w oddaleniu, szepcąc coś pomiędzy sobą. Tego ranka bowiem przyszedł Szymon, syn Blanchetty, po raz pierwszy do szkoły.

Słyszeli oni wszyscy w domu o Blancheccie, a choć każdy grzecznie spotykał ją na ulicy, matki ich pomiędzy sobą odzywały się o niej z pewnym rodzajem pogardliwego politowania, bezwiednie udzielającego się dzieciom.

Dzieci nie znały Szymona. Nie wychodził on nigdy i nie biegał z niemi po ulicach wioski lub nad brzegiem rzeki. Nie cierpiały go dlatego. Z pewną radością, a zarazem zdziwieniem szeptał jeden drugiemu słowa 14 lub 15-letniego wyrostka, który, jak można było wnosić z przebiegłego wyrazu twarzy, więcej zdawał się wiedzieć od innych.

— Wiecie, Szymon niema ojca.

W tejże chwili syn Blanchetty ukazał się na progu drzwi.

Zdawał się mieć 7 lub 8 lat. Był trochę przybladły, bardzo czysto ubrany i wyglądał skromnie, prawie nieśmiało.

Chciał wrócić do matki, lecz koledzy szepcąc wciąż i rzucając nań okrutne i urągające spojrzenia, jakie miewają dzieci gotujące się do złego czynu, zbliżali się co raz więcej, aż go otoczyli kołem.

Ujrzał się w środku zdziwiony, zakłopotany, nie rozumiejąc, czego od niego żądają, gdy wyrostek dumny tylko co odniesionem zwycięztwem, zapytał go:

— Jak się nazywasz? Ty?

— Szymon — odpowiedział.

— Szymon — jaki?

Zmięszane dziecko powtórzyło: «Szymon!» — Każdy się nazywa Szymon, taki lub taki — krzyknął wyrostek — to wcale nie nazwisko: Szymon!

Chłopczyna, bliski płaczu po raz trzeci powtórzył: Nazywam się Szymon.

Wszyscy się rozśmiali: wyrostek tryumfująco zawołał podniesionym głosem:

— Widzicie, że on niema ojca!

Zapanowała cisza. Dzieci oszołomione były tym nadzwyczajny, niebywałym, okropnym faktem: chłopiec niemający ojca. Przyglądały się temu zjawisku, tej nadnaturalnej istocie i czuły, jak pogarda dla Blanchetty, nieświadomie przyjęta od matek, powoli w nich wzrastała.

Szymon oparł się o drzewo, by nie upadł; był przybity nieszczęściem, niedającem się odwrócić. Chciał coś odpowiedzieć, nie znalazł jednak nic, czemby mógł odeprzeć straszne twierdzenie, że niema ojca.

W końcu trupio blady machinalnie zawołał:

— A jednak mam ojca!

— Gdzież on jest? — spytał wyrostek.

Szymon zamilkł. Nie wiedział.

Rozweseleni, śmiali się chłopcy. Synowie pól, mało co umysłowo wyżej stojąc od zwierząt, uczuwali taką samą chęć okrucieństwa, jaka pobudza kury na dziedzińcu dobić swą zranioną towarzyszkę. Nagle spostrzegł Szymon małego sąsiada, syna wdowy, żyjącego również jak on, samotnie z matką.

— I ty także — rzekł do niego — ty też nie masz ojca.

— A mam.

— Gdzie jest? spytał szybko Szymon.

— Umarł — odrzekło dziecię dumnie — mój ojciec jest na cmentarzu.

Szmer zadowolenia dał się słyszeć pomiędzy chłopcami, jakby kolega, mający ojca na cmentarzu, urósł w ich oczach, by tem więcej przygnębić tego, który nie miał go wcale.

I ci nicponie, których ojcowie po większej części byli niegodziwcami, pijakami, złodziejami i bili swe żony, tłoczyli się coraz więcej, jakby chcąc zgnieść swym ciężarem tego, co nieprawnie urodzony, stanowił wyjątek i nie używał równych z nimi praw.

Nagle, najbliżej stojący Szymona z chytrym uśmiechem pokazał mu język i zawołał:

— Niema ojca! niema ojca!

Szymon za włosy go chwycił obiema rękami, nogami kopiąc niellitościwie, a w końcu w twarz ukąsił.

Zaczęła się bijatyka; dwaj walczący zostali rozdzieleni a Szymon zbity, z sińcami, z rozerwaną odzieżą, leżał na ziemi w kole zwycięzko wykrzykujących chłopców.

Gdy wstał, machinalnie kurz ręką ze zbrukanej bluzy otrzepując, jeden z chłopców dorzucił:

— Idź, powiedz swemu ojcu.

Serce mu pękało. Oni byli silniejsi, zbili go, a nie mógł im nic odpowiedzieć; czuł bowiem, że to prawda, że on niema ojca. Opierał się dumnie kilka sekund łzom, zaciskającym mu gardło. Zdawało mu się, że się dławi; potem wybuchł cichym płaczem i łkaniem, wstrząsającym całą jego istotę.

Dzika radość opanowała jego nieprzyjaciół. Idąc za popędem natury, jak to robią dzicy, upojeni okropną wesołością schwycili się za ręce, tańcząc w około niego i powtarzając zwrotkę: »niema ojca, niema ojca!»

Lecz Szymon nagle łkać przestał. Wściekły z gniewu, podniósł u nóg leżące kamienie i zaczął rzucać na ciemiężców. Trafił dwóch, czy trzech, którzy uciekli a wyglądał tak okropnie, że innych ogarnął strach paniczny. Jak zwykle tłum wobec jednego rozpaczliwego człowieka, tchórzliwie się rozpierzchli i pouciekali.

Pozostawszy sam, biedny chłopczyna bez ojca, pobiegł w pole. Jakieś wspomnienie ożyło w nim: postanowił utopić się w rzece. Przypomniał sobie w istocie, że ubogi jakiś człowiek, żyjący z żebractwa, rzucił się w wodę tydzień temu, dlatego, że nie miał pieniędzy na życie. Szymon widział, jak go wyciągnęli z wody, a smutny chłopak, którego spotykał zawsze niemiłosiernie brudnym i brzydkim, widział go teraz z spokojnem, cichem obliczem, blademi policzkami, mokrą brodą i szeroko rozwartemi spokojnemi oczyma. Ktoś z otoczenia szepnął: «umarł» — «teraz jest szczęśliwym» — dodał inny. I Szymon chciał się utopić, bo nie miał ojca, tak jak ten nędzarz, który nie miał pieniędzy.

Podbiegł blisko wody i spojrzał jej nurty. Kilka rybek płynęło na powierzchni w różne strony i wyskakiwało czasami, by schwycić muchy, latające w powietrzu. Przestał płakać i przyglądał się. Zabawa ich zajmowała go bardzo. Od czasu do czasu jednak, jak podmuchy wiatru po uspokojonej burzy, poruszające

drzewami i rozpraszające się na horyzoncie — wracała myśl dawna ze zdwojoną boleścią: «Utopię się, bo nie mam ojca».

Powietrze było ciepłe, śliczne. Słońce ogrzewało murawę. Woda szkliła się jak zwierciadło. Szymon czuł przez pewien czas zmęczenie i bezsilność, które są następstwem płaczu; miał wielką chęć położyć się i usnąć na murawie.

Mała zielona żabka prześliznęła się koło jego nóg.

Chciał ją schwycić. Uciekła. Pogonił za nią i trzy razy daremnie ją chwytał. Nakoniec złapał na nóżki tylne i rozśmiał się, widząc usiłowania zwierzątka, chcącego się uwolnić. Oparło się na długich tylnych nogach: potem wyciągnęło je nagłym rzutem sztywnie jak pałeczki; poruszając przytem dużemi, żółto otoczonemi oczyma i machając przedniemi łapkami, niby rękami w powietrzu. Przypomniało mu to zabawkę z wązkich w zygzak deseczek, wysuwających się takimże ruchem i przytwierdzonych do niej żołnierzy na musztrę. Potem rozmyślał o domu, o matce, i smutkiem głębokim przejęty, zaczął znów płakać. Dreszcz go przejął; ukląkł i modlił się, jak przed pójściem na spoczynek, ale nie mógł skończyć, bo zaczął łkać tak gwałtownie, że stra c przytomność.

Przestał myśleć; nie wiedział nic, co się w około niego działo; płakał tylko.

Nagle ciężka ręka upadła mu na ramię i gruby głos zapytał:

— Cóż cię tak bardzo smuci, chłopcze?

Szymon się obejrzał. Wiejski robotnik o czarnej brodzie i czarnych kędzierzawych włosach patrzał na niego z dobrodusznym wyrazem.

Odpowiedział mu z oczyma pełnemi łez:

— Bili mnie... bo ja... nie mam... nie mam... niemam... ojca!

Tak — odrzekł uśmiechając się — przecież każdy człowiek ma ojca.

Dziecię konwulsyjnie łkając, zaledwie zdołało odpowiedzieć: Ja.., ja... nie mam go.

Robotnik spoważniał. Poznał syna Blanchetty, a choć był obcym we wsi, znał jednak potrosze jej historyą.

— No, pociesz się chłopcze — rzekł i chodź ze mną do twej matki, znajdę ci ojca.

Poszli. Robotnik uchwycił małego za rękę i uśmiechał się.

Był kontent, że zobaczy Blanchettę, o której mówili, że była najpiękniejszą dziewczyną w okolicy.

Przyszli do białego schludnego domku.

— To tutaj, rzekło dziecię i zawołało: «Mamo».

Ukazała się kobieta, a robotnik uśmiechać się przestał. Poznał odrazu, że z tą wysoką, bladą dziewczyną żartować nie można. Stanęła poważnie we drzwiach, jakby broniąc przestąpienia progu mężczyźnie dlatego, że została przez innego zdradzoną. Nieśmiało z czapką w ręku wyjąkał:

— Przyprowadzam pani synka, zabłąkał się niedaleko rzekł.

Szymon rzucił się matce na szyję i znowu płacząc, rzekł:

— Nie mamo, chciałem się utopić, bo mnie wybili za to, że nie mam ojca.

Ciemny rumieniec okrył lica młodej kobiety; jakby uderzona gromem, namiętnie zaczęła całować dziecko, a zły strumieniem toczyły się po jej twarzy. Wzruszony do głębi mężczyzna, nie wiedział jak odejść, gdy nagle podbiegł do niego Szymon i zawołał:

— Chcesz być moim ojcem?

Cisza zapanowała. milcząc, z rękami na piersiach, zawstydzona Blanchetta oparła się o mur, a dziecię widząc, że nikt nie odpowiada, mówiło dalej:

— Jeżeli nie chcesz, wrócę i utopię się.

Robotnik wziął to za żart, i śmiejąc się, odrzekł:

— Ależ dobrze, przystaję chętnie.

— Jak się zowiesz — spytało dziecię — abym mógł im powiedzieć, gdy mnie o to zapytają?

— Filip, odpowiedział mężczyzna.

Szymon milczał chwilę, jakby chciał zapamiętać imię, potem rozpostarł ramiona i wesoło dodał:

— A więc Filipie, jesteś moim ojcem.

Robotnik podniósł go z ziemi, pocałował gorąco w oba policzki i szybkim oddalił sie krokim.

Drugiego dnia, gdy Szymon poszedł do szkoły, koledzy powitali go złośliwym uśmiechem. Przy wyjściu, gdy wyrostek znów go chciał ośmieszyć, rzucił mu w twarz, jak kamieniem, słowa:

— Mój ojciec, nazywa się Filip.

Okrzyk radości rozległ się ze wszech stron.

— Filip, kto? Filip, jaki? Co to jest Filip? Zkąd wziąłeś twego Filipa?!

Szymon milczał; niewzruszony w wierze, pogardliwie na nich spoglądał, gotów znieść męczarnie i nie uciec przed nimi. Po lekcyach wrócił do matki.

Przez trzy miesiące przechodził często robotnik koło okien Blanchetty, czasami odważył się przemówić, gdy siedziała, szyjąc przy oknie.

Odpowiadała grzecznie, zawsze poważna, bez uśmiechu, nie zapraszając go go wejścia. Jak wszyscy mężczyźni, prożny wmawiał w siebie, że czasami, gdy z nim mówiła, rumieniec oblewał jej twarz. — Jednak raz popsutą opinię trudno naprawić, a i wtedy jest tak wiotką, że o Blanchecie pomimo jej skromnej powściągliwości mówić zaczęto. Szymon kochał jednak swego nowego ojca i chodził z nim prawie co wieczór po skończonej robocie na spacer. Uczęszczał pilnie do szkoły i z godnością przechodził koło kolegów, nie odzywając się do nich.

Dnia jednego wyrostek ten, który najpierwszy napadał na na niego, rzekł:

— Skłamałeś, nie masz ojca Filipa!

— Dlaczego? — odparł wzrszony Symon.

Wyrostek ręce zatarł i odpowiedział:

— Gdybyś miał ojca, byłby on mężem twojej matki.

Prawda słow ostatnich zmieszała Szymona. pomimo to odrzekł:

— A jednak jest on mym ojcem!

— Być może — rzekł wyrostek, śmiejąc się — lecz nie jest zupełnie twym ojcem!

Synek Blanchetty spuścił głowę i zamyślony poszedł do kuźni ojca Boisson, gdzie pracował Filip.

Kuźnia jakby się skryła pomiędzy drzewami, wewnątrz czerwony blask wielkiego ognia na kominie oświecał kilku czeladników kowalskich, obnażonemi rękami uderzających z wielkim hukiem w kowadła. W blasku ognia wyglądali jak djabły z oczami, utkwionemi w rozpalone żelazo. Powolne ich myśli wznosiły się i upadały wraz z młotami. Szymon poszedł cicho do swego przyjaciela i pociągnął go za ramię. Ten się odwrócił, robota ustała nagle, wszyscy mężczyźni przysłuchiwali się uważnie

W ciszy tej rozległ się cienki głos chłopca.

— Filipie, syn Michaud'y powiedział mi właśnie, że nie zupełnie jesteś moim ojcem.

— Dlaczego? — spytał wyrobnik.

— Dlatego, że nie jestes mężem mojej matki — naiwnie odpowiedziało dziecię.

Nikt się nie roześmiał. Filip ukrył głowę w dłonie dużych swych rąk spartych o trzonek młota, stojącego na kowadle.

Myśląc, czterej towarzysze spoglądali na niego, a Szymon maleńki i wątły spoglądał wpośród tych olbrzymów i niespokojnie czekał.

Nakoniec jeden z kowali wypowiedział myśl wszystkich, mówiąc do Filipa.

— Blanchetta pomimo wszystkiego jest dobrą i zacną dziewczyną, pomimo nieszczęścia swego jest porządną i uczciwą i byłaby stosowną żoną dla niego.

— To prawda — odrzekli inni.

Robotnik mówił dalej:

— Czy winną jest dziewczyna, że ją oszukał? Obiecał jej żenić się. Znam taką niejednę, która dziś jest poważaną, choć przeniewierzyła się też cnocie.

— To prawda! — odpowiedzieli chórem inni.

Robotnik mówił dalej:

— Męczyła się ona, wychowując sama swego chłopca i tylko Bóg wie, ile wypłakała od czasu, jak nigdzie, prócz do kościoła nie chodzi.

— I to prawda, rzekli drudzy.

Potem słychać było tylko miech, rozdmuchujący ogień.

Filip nachylił się do Szymona:

— Idź, powiedz twej matce, że dziś wieczorem pomówię z nią.

Wyprowadził chłopca; potem znów przystąpił do roboty, a równocześnie pięć młotów uderzało w kowadła. Tak uderzali do wieczora, silnie, potężnie, radośnie. Byli zadowoleni. A jak w dnie świąteczne dzwon katedry przewyższa dźwiękiem dzwony mniejsze, tak młot Filipa z ogłuszającym hukiem bił, górując nad innemi.

Stał z błyszczącemi oczyma, kując namiętnie, otoczony iskrami.

Niebo było usłane gwiazdami, gdy Filip zapukał do drzwi Blanchetty.

Miał na sobie bluzę niedzielną, czystą koszulę, a brodę pięknie rozczesaną. Młoda kobieta ukazała się w progu i rzekła trwożliwie:

— Nie dobrze, że pan Filip przychodzi tak późno wieczorem.

— Chciał coś odpowiedzieć, zająknął się i zmieszany stanął.

— Wszak pojmujecie — ciągnęła dalej — że tylko tego trzeba, by znów o mnie mówić zaczęli.

— Cóż to szkodzi, jeżeli chcecie zostać moją żoną! — dopowiedział nagle. Nie odpowiedziała nic, ale zdawało mu się, że słyszy stuk ciała, upadającego na podłogę. Wyszedł szybko, a Szymon leżący już w łożeczku, słyszał szmer pocałunków i słów kilka wyrzeczonych półgłosem przez matkę, potem czuł się podniesionym przez swego przyjaciela; trzymał on go w swych herkulesowych ramionach i rzekł:

— Powiedz im, twym kolegom, że Filip Remy, kowal, jest twym ojcem i że wytarga każdego za uszy, ktoby ci przykrość zrobił.

Nazajutrz, gdy szkoła była napełniona, a nauka miała się natychmiast rozpocząć, Szymon wstał i drżącemi usty, ale czystym głosem powiedział:

— Moim ojcem jest Filip Remy, kowal i przyrzekł mi, że wytarga za uszy każdego, kto mi sprawi przykrość.

Tym razem nikt się nie rozśmiał, znano bowiem Filipa Remy, kowala — a był to ojciec, mogący być dumą każdego...

KRONIKA.

Od dawnego czasu nie gawędziłem z czytelnikami «Przeglądu» — dlaczego? dużo byłoby o tem pisać. Ale kiedy «Przegląd» nową obleka szatę i wzywa do apelu wszystkich swych współpracowników, a więc i ja jako żołnierz tej małej armii, zahartowany w czteroletnich bojach za prawdę i sens zdrowy, wdziewam swój mundur kronikarski i prezentuję broń przed najpiękniejszemi czytelniczkami i najpoważniejszymi czytelnikami. Nb. za «najpiękniejsze» i za «najpoważniejszych» uważam wyłącznie prenumeratorki i prenumeratorów «Przeglądu», niezalegających z przedpłatą.

Od ostatniej mojej pogawędki niewiele się na świecie Bożym zmieniło. Przybyło łez trochę i smutków trochę, sporo boleści i zawodow, a wreszcie kilka pism humorystycznych. Im cięższej na sercu, im trudniejszą walka o życie i kawałek chleba, tem więcej ludziska chcą się bawić, wesołą farsą lub zręcznym dowcipem rozchmurzyć posępne czoła, pośmiać się z drugich, gdy los się z nich samych śmieje. Śmieje się więc Kraków, śmieje Lwów i Warszawa, jeden tylko Poznań nie usiłuje nawet wywołać uśmiechu, bo też jemu doprawdy śmiać się już nie wolno.

Czy jednak powstawanie nowych pism humorystycznych dowodzi, że przybywa nam humorystów? Broń Boże! Też same piora co przed laty kilku lub kilkunastu zdobyły sobie uznanie, trzymają dziś berło humoru w swej dłoni, a cała rzesza «wyrabiaczow humoru» zasila się importowanym humorem Zachodu, lub przedrzeźniając Heinego zasiewa ziarna pessymizmu i cynizmu na glebie humorystyki perjodycznej. Humoryści ci «od wiersza» traktują humor jako rzemiosło popłatniejsze od reporterji, piszą wierszem i prozą na zadany przez wydawców temat i gotowi sami siebie wyśmiać i wyszydzić, jeżeliby to leżało w interesie wydawcy. Każesz im napisać artykuł w sprawie tonkińskiej — napiszą, każesz im rozebrać sprawę kanalizacyi — rozbiorą, każesz czule pożegnać występującą gościnnie artystkę — pożegnają, każesz «zerżnąć» nieznającego się na grzeczności śpiewaka — żerżną, każesz napisać humoreskę na tle skandalu domowego — napiszą, zażądasz wreszcie paszkwilu na niemiłą ci osobę — a w godzinę będziesz miał potrzebną ilość rymów, w których twój przeciwnik zostanie kieszonkowym rzezimieszkiem lub zdrajcą narodu. Takich «przygodnych» humorystów, co między rozprawą o stosunkach zdrowotnych miasta, a sprawozdaniem z posiedzenia Rady Nadzorczej Towarzystwa kredytowego, piszą humorystykę na kolanie, nie przywiązując do niej żadnej wagi, a tylko obliczając w myśli mające przypaść honorarium, jest niestety coraz więcej. Nic dziwnego, że poziom humorystyki zniżył się, a połowa pism humorystycznych żyje skandalem, brudami, rzucaniem oszczerstw i wstrętnych insynuacyj. Wszystko tam znajdziesz i reklamy i wymyślania, i słowa cuchnące, i karczemne przezwiska, — wszystko, prócz dowcipu i humoru.

Nie do takich humorystów należał zgasły niedawno serdeczny, zacny, kochający i kochany Bartels. Na innem miejscu «Przegląd» poświęca mu wspomnienie, ale niech będzie wolno kronikarzowi, który wiele chwil przyjemnych, wesołych i podniosłych zmarłemu zawdzięcza, dorzucić też garść słów żalu na grób piosenkarza i satyryka. Nad grobem tym nikt nie przemówił, a przecież literatura straciła dobrego humorystę, przyjaciele zacnego towarzysza, a społeczeństwo prawego obywatela. Tę ziemię, która go przyjęła w swoje objęcia, kochał on nadewszystko, wiernym jej był do samego grobu i w ostatnich chwilach swoich

tylko o jej szczęściu marzył. Nadzieja przedłużenia życia zniknęła w nim na kilka miesięcy przed śmiercią, czuł, że długa choroba wyczerpała ostatki sił żywotnych, a mimo to w rozmowie z nim nie dostrzegłeś zwątpienia ani żalu, ale tę niesłychaną, bezprzykładną prawie wiarę w lepszy los młodszego pokolenia. Wiara ta była czasami nawet naiwną, przywiązywała nadzieje do osoby, po której nikt chyba prócz niego polepszenia doli się nie spodziewał, ale właśnie tem więcej jednała dla Bartelsa serca otaczających, bo musieli podziwiać ten hart duszy, tę miłość dla idei, która go nie opuszczała ani na chwilę i w ryzykownych kombinacjach szukała zbawienia. To fakt, że na łożu śmierci Bartels najmniej myślał o sobie, a zajmował się każdą sprawą ogólną, każdą zacną myślą, każdym objawem życia narodowego, jakby w tej pracy około dobra społeczeństwa mógł przyjąć jeszcze żywy udział.

I ta wielka, piękna strona charakteru człowieka, objawiała się w każdym utworze pisarza. Jemu nie chodziło o to, aby bawić,— on wrodzonego humoru używał jako środka do wykorzeniania wad i ułomności obyczajowych i narodowych. Rzadko kto odczuł i rozumiał tę myśl głębszą utworów Bartelsa, co widzimy nawet w pośmiertnych o nim wspomnieniach. U nas uważają humorystę, dzięki falandze wspomnianych powyżej pisarków, za jakiegoś bawiciela, za coś w rodzaju płaskiego komika na scenie, którego zadaniem rozśmieszać chciwą zabawy publiczność. Śmiano się więc z jego «departamentu niższej Sekwany», wyszydzającego paplaninę francuzką i dziękowano mu za piosnkę..... po francuzku. W ten sposób zrozumieli go i nasi *krytycy*, co po śmierci mając pisać nekrolog, przypominali sobie, że Bartels «przez długi czas bawił wesołemi piosenkami». Zapomnieli albo nie wiedzieli o tem, że nikt tak jak Bartels nie umiał podchwycić i ośmieszyć w lekkiej piosnce wad pyszałkowatej arystokracji, chełpliwej burżoazji i kłamliwej demokracji, nikt tak nie znał «żmudnej pracy obywatelskiej», nikt tak ostro choć w formie wesołej nie wypowiedział prawdy «poznańskim panom», składającym na Bismarka swój upadek ekonomiczny i moralny, a na który złożyły się: niedbalstwo, karty, marnotrawstwo, wycieńczenie sił duchowych i fizycznych. Któż lepiej od Bartelsa znał «naszych najserdeczniejszych», kto tak jak on z niezrównaną mimiką twarzy i przewyborną akcentacją umiał w kilkunastu strofkach scharakteryzować wady nietylko nasze, ale wszystkich europejskich społeczeństw? A weźmy dalej ten szereg typów dawnych, owe niezrównane opowiadania «Cioci Salusi», ową charakterystykę zabaw i ludzi z początku b. wieku — to znajdziemy w Bartelsie wielki materiał dla badacza obyczajów najbliższej przeszłości. Prócz tego, komu dozwolił skromny piosenkarz przejrzeć niewydane satyry i okolicznościowe wiersze z lat 1840—1870, ten jeszcze więcej czuć musi stratę zacnego człowieka i satyryka. Jeżeli, co być powinno, wy-

dane one zostaną w całosci, zobaczymy jak ten człowiek umiał czuć, kochać i myśleć za wielu, jak w czasach pańszczyźnianych stawał w obronie uciśnionego wieśniaka, ile pogardy miał dla wyzyskiwaczy ludu, dla pysznych panków, zbogaconych kradzieżą grosza publicznego i krwawym potem poddanych. A oprócz tego znajdziem tam i drobne perełki poetyczne, w czysto lirycznym nastroju, takie ciepło, serdeczne i pełne miłości, że bodaj czy na czasy dzisiejsze nie będą... anachronizmem.

Od rzeczy smutnych przejdźmy jednak do wesołych, od ludzi zmarłych do żyjących. Pomiędzy ostatnimi najgłośniejszym w tej chwili, przynajmniej w Krakowie jest p. Stefan Rogoziński.

Kiedy ten młody podróżnik afrykański, nie będąc jeszcze pełnoletnim, oświadczył przed czterema laty chęć udania się do Kamerunu i kiedy kilka pism warszawskich, skłonnych do popierania każdej myśli nowej i błyskotliwej, a sprytnie połączonej z hasłem «sławy narodowej», pospieszyło nietylko z pomocą moralną, ale i wezwało do składek dla «pierwszej polskiej wyprawy do Afryki», — już wowczas wystąpiła poważna część dziennikarstwa przeciw marnowaniu grosza polskiego na awanturnicze zachcianki ludzi młodych, pełnych zapewne zapału, ale nieumiejących skierować go ku celom rzeczywistych potrzeb społeczeństwa. Ktokolwiek spokojnie zastanowił się nad «wyprawą afrykańską» przyszedł do przekonania, że nam praktycznej korzyści ona nie przyniesie. a korzyść jej moralna jest bardzo problematyczną. Niemcy, Francuzi, Anglicy czyniąc geograficzne poszukiwania, obok nauki mają na celu własny handel, przemysł, słowem bogactwo kraju. Zakładają faktorje, kolonje, przyjmują protektorat nad państewkami, ciągną ztamtąd zyski materjalne, pracują dla dobra własnej ojczyzny. Polak rzucający się na tę drogę, nietylko krajowi nie przynosi materjalnego zysku, ale owszem, wywożąc pieniądze z kraju, zużytkowywa swoją energją, zapał, poświęcenie nawet, dla dobra obcych, którzy mniejsza o to jak się nazywają: Niemcy czy Anglicy. Kiedy u nas tyle spraw leży odłogiem, tyle koniecznych potrzeb niezaspokojonych, kiedy każda mysl dobra, każde dzieło pożyteczne spotyka się z brakiem kapitału i sił pracowniczych — wowczas nam nie wypada, a nawet wprost nie wolno pochwalać kosztownych zabawek, awanturniczych wycieczek w podrownikowe kraje. — Tak się zapatrywała poważna prasa i dodawała jeszcze pytanie: jaką gwarancją kandydaci na Liwingstone'ów dać mogą, że choćby nauka zyska na ich śmiałych zamiarach? czy są to ludzie już dojrzali, doświadczeni, wypróbowani na polu naukowem? co dotąd oni zrobili, czem się odznaczyli, jakie owoce dotychczasowej ich działalności?! I na zapytanie to nie było odpowiedzi. Pan Rogoziński już w szkołach (nie bardzo dawno) miał chęć ujrzenia gor Kameruńskich, jak to sam opowiada, a zatem urządzajmy dla niego wyprawę, zbierajmy składki, bo on chce «nareszcie

stanąć na tej ziemi, o której niejedną noc przedumał w Europie» i gotów nawet popełniać «szaleństwa, jakich wiele popełnia człowiek w życiu w gonitwie za urzeczywistnieniem swej wymarzonej myśli.»

Któż z nas o czem nie dumał i nie marzył? Młodzieniaszkami będąc w szkołach, naczytawszy się Robinsonów, opisów puszcz amerykańskich, piasków Sahary, bogactw Indyj etc. czem niezdrowo karmiono nasze umysły, wszyscyśmy chcieli być pionierami cywilizacji w dzikich, barbarzyńskich krainach, każdy chciał polować na lwy, staczać walki z tygrysami, zakładać kolonje na niezaludnionych wysepkach, odkrywać źródła Nilowe, a przedewszystkiem zrywać kokosowe orzechy.... Ale to prędko mijało. Życie, otoczenie, poważna myśl o skromnej w swoim zakresie pracy dla dobra tej ziemi, co nas wykarmiła, rozwiewały dziecinne marzenia. Tu pracować, tu działać na pożytek najbliższych, zużytkować swoją naukę, energją, zdolności dla podniesienia oświaty, przemysłu, ekonomicznego stanu kraju — oto były marzenia tych, dla których zdobycie kawałka chleba nie było wyłącznym ideałem. A jeżeli który z naszych kolegów i towarzyszy powziął zamiar na chwilę lub na dłużej opuścić strony rodzinne, to przedewszystkiem chciał ujrzeć nieznany sobie Kraków, to miasto pamiątek, ten kopiec ostatniego «naczelnika» narodu, aby u tego niewyschłego źródła zaczerpnąć sił do pracy i nadziei na przyszłość. Jeżeli zaś chciał zobaczyć góry, to marzył o Tatrach, o nich «niejedną noc przedumał», a góry Kameruńskie całkiem mu były obojętne. I mam to najmocniejsze przekonanie, że każdy podróżnik Niemiec wprzód zwiedzi brzegi Renu i Alpy, Hiszpan i Francuz Pireneje, nim pojedzie na zwiedzanie gór Afryki i Ameryki.....

Ale, fakt się stał, pan Rogoziński dotarł do celu swych szkolnych marzeń, ujrzał góry Kameruńskie. Żałować wyłożonych pieniędzy i sił zmarnowanych dziś napróżno — młody podróżnik wrócił już do kraju, gdzie pozostanie, dopóki znowu nie zajmie się urzeczywistnieniem jakiej nowej «wymarzonej myśli». Zdawałoby się, że fakt powrotu jego przejdzie spokojnie, a co najwyżej garstka zwolenników oczekiwać będzie wydania dzieła, mającego wykazać czy rzeczywiście jakieś zdobycze naukowe przywiózł ze sobą marzyciel Kamerunu, któreby choć w części pokryły bezpłodność praktyczną jego wyprawy.

Tymczasem p. Rogoziński przybywa i przyjmowany jest w Krakowie jako tryumfator. Podkreślam wyraz *w Krakowie*, bo jak widać z pism warszawskich, nawet tych co w wielki dzwon dzwoniły z okazyi zamierzonej przed 5-ma laty wyprawy, — w Warszawie, która wówczas oszołomiona hasłem «sławy narodowej» pierwsza pospieszyła z materjalną pomocą, w tej Warszawie o przyjeździe p. R. głucho i cicho. Pokazuje się, że tam zrozumiano już «doniosłość wyprawy» i postanowiono przyjąć obojętnie fakt powrotu młodego podróżnika. Kraków za to wy-

sila się na coraz niemądrzejsze objawy niesłychanej radości. Pan R. jest bohaterem chwili, każdy dzień jego pobytu jest skrzętnie notowany, przyszły jego biograf nie będzie miał kłopotu, bo dzienniki miejscowe o mało nie podają codziennego jego menu obiadowego. Nazwisko jego nigdzie nie może się ukazać bez epitetu «znakomity, sławny, nasz...» Hola! panowie i panie — troszkę rozwagi, trochę miary. Wiem, że narażam się pani «opinji», że wiele wielkości z politowaniem czytać będzie moje słowa, a może który domyślny czytelnik dojrzy w nich ukrytą zazdrość, że to nie ja byłem w Kamerunie, nie ja jestem noszony na rękach, nie nie ja zapraszany na wieczory i rauty. Ale pomimo to, czuję się w obowiązku, wobec ogólnego zbzikowania (nie mam pod ręką grzeczniejszego wyrazu), założyć skromne veto w imieniu tych, co cenią zasługę według stopnia jej wielkości, pracę dla kraju według dotykalnych jej rezultatów, naukę według okazanych już a nie zapowiadanych wyników. Idzie mnie wreszcie o młodzież naszą i tak już zbałamuconą, a pchaną dalej na bezdroża przez starszych, nieobliczających się ze skutkami swej lekkomyślności.

Oto widzi ta młodzież uczonego, co całe życie strawił dla dobra nauki, widzi poetę, co wspaniałemi błyskami swej myśli dorzucił do skarbnicy piękna drogocenne klejnoty, widzi znowu człowieka, co przez długie lata walczył w obronie najdroższych idei, dając dla nich w ofierze pracę i krew własną, widzi dalej zasłużonego krzewiciela oświaty ludu lub długoletniego pracownika na polu podniesienia dobrobytu kraju, widzi artystę europejskiej sławy, co geniuszem swym podniósł znaczenie sztuki narodowej, pedagoga, który z zaparciem się wychowywał i kształcił trzy lub cztery młode pokolenia, lekarza wreszcie lub siostrę miłosierdzia, którzy stracili swe siły na usłudze cierpiącej ludzkości — ale nie widzi, aby im wszystkim lub każdemu z osobna składano nadzwyczajne hołdy, wyrażano uwielbienie, aby nimi zajmowano się lub noszono na rękach. Czasem, jeżeli sobie ktoś przypomni, to po 25-ciu, 30 stu, a najczęściej 40 stu lub 50 ciu latach odbędzie się na cześć jednego z nich skromny jubileusz ze składkowym obiadem, na który ledwie przy pomocy stosunków osobistych kilkadziesiąt osób zebrać można. A oto przyjedzie młody, młodziutki podróżnik, i za to, że zdala od kraju znajdował się przez lat parę, że dla kraju nic nie zrobił, a dla nauki *może* coś zrobił, za to przyjmowany jest jak tryumfator, przy którym tamci, dopiero co wyliczeni, wyglądają jak pigmeje. I jak tu niema jednemu, drugiemu, dziesiątemu i setnemu młodzieniaszkowi przewrócić się w głowie? Na co on ma ciężko pracować na polu nauki, sztuki, przemysłu, oświaty, aby po latach wielu, jeżeli siły dopiszą, zyskać sobie jakie takie uznanie, kiedy zdobyć je może sto razy większe, prędko i łatwo, byle się przejechał do Afryki. Pogada sobie z królem Amatifu, dowie się o jego zdrowiu, zawiąże stosunki dyplomatyczne Polski z królem Belą, obdzieli dzikich wład-

ców anyżówką, dozna troszkę przygód i nie zbyt niebezpiecznych niebezpieczeństw, i powróci syt sławy, witany jako «znakomity, głośny, sławny, nasz».....

Ale prawda! Pan R. jakiś kawałek ziemi wydarł Niemcom a oddał Anglikom. Mniejsza o to, że ten kawałek ziemi może nie przedstawiał wiele interesu, mniejsza o to, że Anglicy są naj nikczemniejszymi kolonistami i wyzyskiwaczami zostających pod ich protekcją krajów, ale bądź co bądź dokuczył p. R. Bismarkowi. Prawda, wielka prawda, ale ja panu R. podałbym sto razy lepszy sposób zirytowania żelaznego księcia. Otóż niechajby był zamiast podróży do Kamerunu, pojechał p. R. w Poznańskie, co jest znacznie bliżej i wygodniej, i za te kilkadziesiąt tysięcy reńskich, które wydał na zwiedzenie gór Kameruńskich, odkupił od którego Niemca kilka włók ziemi ojczystej, ręczę, że Bismarkowi stokroć większą krzywdę by wyrządził, a krajowi przysporzył kęs ziemi, choć mały, jednak znacznie dla niego ważniejszy od obszernych przestworów Kamerunu.

Pan Rogoziński może być zresztą człowiekiem bardzo sympatycznym, może być, że z czasem nauka z niego korzyść mieć będzie — ma wiele zapału i energji, a w czasach dzisiejszych cenić to należy, — ale nie o niego tu chodzi, lecz o dobro ogólne. W naszem ciężkiem położeniu, kiedy co chwila usuwa się z pod nas ziemia, kiedy trzeba wielkich wysiłków pracy i wiele poświęcenia, wiele cfiar prywatnych i ogólnych, aby ratować statek skołatany, w naszem położeniu, powtarzam, lekkomyślność nie jest dozwoloną. Co najwyżej milczeniem pokryć można niebezpieczne eksperymenty poświęcania sił i pieniędzy krajowych na dalekie i wątpliwej wartości cele ogólno-ludzkie, ale nie należy ich chwalić i to do przesady, dając tem samem bodźca do dalszych eksperymentów, bałamucąc opinją i odwodząc niedojrzałą młodzież od cichej, spokojnej, a najzacniejszej i najwięcej błogiej w rezultatach pracy na kawałku ziemi ojczystej. Ucz się, młode pokolenie, pracuj z zapałem, «czyń w swojem kółku, co każe duch Boży», a niema obawy, że i bez ciebie jakiś Anglik lub Niemiec gory Kameruńskie opisze.

Ale... kronika moja zbytecznie się przedłuża, więc na zakończenie kilka słów pro domo sua. Lubo to czytelników mało obchodzić może, podaję dwa listy napisane przezemnie do «Przeglądu Tygodniowego», organu skrajnie postępowego w Warszawie i do Redakcji «Czasu». List pierwszy brzmi:

Szanowna Redakcjo «Przeglądu Tygodniowego».

«Wiadomości kościelne» i «Przegląd katolicki» wzywają «wszystkie potęgi ziemskie do skruszenia mej bezbożności, spro«wadzonej z Zachodu od radykałów francuzkich. Zagrożony ma«terjalnie i moralnie, udaję się do Redakcji Przeglądu, jako kom-

«petentnej w sprawach radykalizmu, aby mnie raczyła objaśnić, «czy na dalszą walkę przeciw kościołowi i istniejącemu porządko-«wi rzeczy, nie mógłbym ze strony potężnego stronnictwa otrzy-«mać pewnego wsparcia, choćby w kwocie 1000 fr. miesięcznie. «Oczekując odpowiedzi, pozostaję etc. etc.«.

List drugi:

Szanowna Redakcjo Czasu!

«Z przyjemnością wyczytałem w warszawskim «Przeglądzie «Tygodniowym», że redagowane przezemnie dwa pisma: «Przegląd «literacki« i «Ananas» mają otrzymać od stronnictwa Stańczy-«ków subwencją. Wierząc słowu drukowanemu, zwłaszcza *uczci-«wości* Redakcji Przeglądu Tygodniowego, która na pewnych jedy-«nie podstawach mogła uczynić podobne doniesienie — mam «zaszczyt upraszać Szanowną Redakcją o bliższe szczegóły co do «wysokości przyznanej mi subwencji i co do terminu wypłaty, «którego z niecierpliwością oczekuję. Mam zaszczyt itd.»

Po napisaniu zaś dzisiejszej kroniki jestem przekonany, że oprócz powyższych dwu źrodeł, otworzy się jeszcze dla mnie źródło trzecie, a mianowicie «fundusz gadzinowy» Bismarka, ktory niepodobna, aby jakimś znaczniejszym datkiem nie zasilił kasy kronikarza, zwalczającego najniebezpieczniejszego jego rywala, p. Stefana Szolca Rogozińskiego.

26 Stycznia 1886.

Kazimierz Bartoszewicz.

P. S. Już po napisaniu kroniki, dowiaduję się, że wczoraj w resursie dawnym, przy kolacji na cześć p. R. «uznając ważność zadania i ekonomiczne korzyści, jakie się w środkowej Afryce dla ludów cywilizowanych otwierają» złożono znaczną kwotę na założenie polskiego Towarzystwa geograficznego, mającego wejść w stosunki z Towarzy. geogr. międzynarodowem. Kiedy nasze Towarzystwo Tatrzańskie do tej chwili nie mogło zdobyć się na wydanie porządnej mapy Tatr i Karpat, kiedy «Słownik geograficzny polski» nie mogąc otrzymać uznania i poparcia, tylko ofiarności jednego człowieka zawdzięcza dalsze swe wydawnictwo, kiedy źródeł rzek naszych nikt jeszcze dokładnie nie zbadał, kiedy niema po prostu dotąd dobrej geografji naszego kraju, — wówczas zakładać Towarzystwo geograficzne dla badania afrykańskich środków i wybrzeży, wydaje mi się tak kolosalnym nonsensem, że jeszcze raz w imieniu zdrowego rozsądku zawołać muszę: przestańcie dzieci, bo się źle *bawicie.* Dość polskiej krwi i pieniędzy poszło dla obcych, trzeba je raz na własną zużytkować potrzebę!

TEATR.

I.

Uwagi ogólne. Tandeciarstwo literackie. **Heród baba** *Kraszewskiego i Szeligi Benefisy aktorskie.* **Nasi Najserdeczniejsi,** *W. Sardou. Benefis Władysława Szymanowskiego.*

Nie jestem pewny, czy w chwili, kiedy zecer składać będzie końcowe wyrazy niniejszego feljetonu — pierwszego z seryi — teatr krakowski nie zmieni znów kierownika lub przedsiębiorcy. Niepojętym bowiem faktem wydawać się musi to *chasseé croisée*, jakie tańczą kierownicy naszej teatralnej kapliczki. Kto się w tym tańcu potknie, kogo nadepcą a kto zmęczy, — nie wiem a nie wie też pewnie i „komitet artystyczny", skoro po instrukcye działania odnosi się aż do Lwowa. Jeźli ta centralizacya wzmagać się będzie stopniowo, gotowiśmy doczekać się telegraficznej korespondencyi, lub pliku aktów w sprawie, czy lokaja w sztuce ma grać p. X. lub p. Y. O ile to wzajemne informowanie się: komisyi u Wydziału, kierownika u komisyi, przedsiębiorcy u kierownika, popchnie ciężką śmigę teatralnego wiatraka, dziś niepodobna przesądzać, nie wróżąc jednak świetlanej przyszłości. Wewnętrzne stosunki teatru, jego administracyjne kombinacye, o ile nie szkodzą poziomowi sztuki, dla ogółu winny być niedostępne; ta ciągła zaś zmiana kierowników i sterowników wzbudza ciekawość, której owocem jest niekoniecznie korzystna dla instytucyi, kontrola niepowołanych, roznoszących wieści, dyskredytujące teatr, jego kierowników i pracowników. A i oto wziąć trzeba na uwagę, że kiedy do krytykowania manipulacyjnych czynności innych instytucyj biorą się kompetentni, w teatrze każdy widz z parteru uważa się za wyrocznię, gani a co gorsza, swoje nagany rozpowiada chętnym zawsze słuchaczom. Z tego rośnie cała chmura słusznych i urojonych zarzutów i pretensyj, nie oddziaływających bynajmniej korzystnie na moralny kredyt instytucyi. To stosunek teatru do publiczności, tracącej wiarę w zaradność przedsiębiorstwa.

Nie mniej zaś ważną będzie moralna atmosfera zakulisowa. Tym, którzy jej nie znają, nie pomógłby jeden wykład o „systemie protekcyjnym", dla poinformowanych jest on zbyteczny. Ze wzrostem liczby rządzących niewątpliwie wzrośnie i konkurencya protekcyjna, nie insynuując bowiem nikomu nieszlachetnych pobudek, zanadto znamy subtelność tych nici, abyśmy mogli uwierzyć, że nie będą one rozpostarte. Dotąd teatr krakowski szczęśliwie się wyróżniał od swoich kolegów tradycyą sprawiedliwości — co nam przyniesie sezon nowy?...

Pana Podwyszyńskiego znamy jako zdolnego kierownika, wierzymy w jego talent i sumienność. Ale czy kierownik teatru krakowskiego jest osobistością niezależną, czy nie dzieli się z nikim władzą? Nie dzieli się tylko pociskami krytyki, obrażonemi

ambicyjkami i niezadowoleniem pustej kasy. Wszelka inna władza jego jest krępowana, dlatego to wyraziliśmy nasze obawy.

Część tych obaw opieramy na słusznych poniekąd wywodach *Kur. lwow.* o teatrze krakowskim, a właściwie o podziale władzy, jak w nim panowała a może i panować będzie?...

Temu to nieunormowaniu stosunków przypisać należy pojawianie się literackiej tandety, za jaką uważać musimy przerabianie powieści polskich. W piśmiennictwie, które nie może się poszczycić wybitną ilością sztuk prawdziwie wartościowych, a w którem nawet ilościowo dział ten jest ubogim—jest to demoralizatorstwem.

Przy odmiennych warunkach, wymaganych w powieści i na scenie, wytworzyć się może szkoła pisarska, która wynajdzie receptę na pisanie powieści, łatwo dających sie przerobić na scenę, i gotowiśmy mieć utwory, z których dowoli będzie można robić nowelę, powieść lub dramat, zupełnie jak z owemi laskami, które mogą być użyte jako stołek, cybuch i wędka. O przeróbkę *Heroda baby* Kraszewskiego toczyła się sprzeczka, czy autor pozwolił na przeróbkę, czy nie? Okazało się, że pozwolił, i że źle na tem pozwoleniu wyszedł. Powieść Kraszewskiego pisana, zdaje się, w ostatniej dobie twórczości zasłużonego pisarza, nie dorównywa plastyką figur, ani intrygą innym jego utworom. Spokojny tok „opowiadania dziadka" sam już wskazywał, że temat ten nie był przeznaczony na scenę. Ale pani Szeliga zapragnęła zrobić z laski cybuch... chciałem powiedzieć z powieści komedyę... no, a że zrobiła *fiasco*, to już nie wina Kraszewskiego. Treść opowiada się krótko.

Pani Piętkowej uciekł z domu mąż, pogoniwszy za baletnicą do Drezna. Pani pojechała za nim i przywiozła go do domu. Wszak prawda, że to niedługie? Najciekawszą więc byłaby droga i przygody, że jednak nie wchodzi ona w akcyą, przeto zastępuje ją nudna ekspozycya i nie wiążące się z sobą dwa akty sztuki, z których jeden rozgrywa się aż na ulicy w Dreźnie (patrząc na tę odsłonę, mimowoli przychodziło na myśl o niezaradność policyi tego miasta). Ostatni, bez wielkich zmian przeniesiony z powieści, poczciwą atmosferą domowego ogniska, najwięcej ma wartości. Wykonanie sztuki odpowiadało wartości przeróbki. Panna Barszczewska, która wciąż jeszcze jest obiecującym materyałem artystycznym, potrzebującym zejść z koturnów, heroicznie walczyła z trudnościami roli,—zwycięztwo było po stronie roli. P. Janowski grał z humorem akt ostatni. Pan Siemaszko typowym był wujaszkiem, szkoda tylko, że nie zwrócił uwagi na kostium, który powien być pomiędzy 1-ym a 3-im aktem zmieniony (patrz powieść na str. 129). Pp. Solski, Wójcicki, Śliwicki i Winiarski (z błędną charakteryzacyą) poprawnie odegrali swe role. O chórach nie wspominam, nie chcąc szkodzić dyrekcyi.

Herod baba była ostatnim świadkiem władzy p. Sarneckiego, — *Nasi najserdeczniejsi* wprowadzili nas w epokę benefisów.

Ciekawy to okres sezonu. Gdzieindziej benifis jest nagrodą za pracę artysty, za jego zasługi dla sceny i sztuki, jest dniem pamiątkowym w rocznikach teatru i w pamięci publiczności. U nas, benefis stał się wypełnieniem jednego z punktów kontraktu, jest zwyczajną „sobotą teatralną“, gdzie jeźli jaki wieczór nie przeszkodzi „towarzystwu“ a heca „górze“ — beneficyant zdobywa... kasę. Konieczne jest wielkie zaparcie... potrzeb materyalnych i zwycięztwa nad niemi ambicyi artystycznej, aby uniknąć pokusy wystawienia „sztuki kasowej“.

Byliśmy aż nadto pewni, że Szymanowski odniesie takie zwycięztwo. Nie mógł też lepiej postąpić, jak zdobyć się na odwagę wznowienia jednej z najlepszych komedyi Sardou.

Nasi najserdeczniejsi przodują wszystkim niemal sztukom autora „Teodory“. Z niewielkiej ilości zarzutów możnaby jedynie podnieść banalność współrzędnego z główną intrygą konfliktu, nadto pobieżne zaznaczenie stosunku Tholosana do Emilii i niewyraźność postaci męża, zaciemnionej nierozstrzygniętem pytaniem: czy wie on o stosunku Maurycego z Cecylią? Wszystkie inne figury, od Marecata poczynając, na jego synku i dowcipnej pokojówce kończąc, mają tyle sylwetkowej wyrazistości, że w rękach wytrawnych solistów, a dla takich jest ta komedya, nabierają wartości typów. Nawet rezonerska postać Tholosana nie pozbawiona jest cech charakteru działającego, czem się wyróżnia od podobnych figur w innych komedyach. Nie mniej ważną zaletą jest wcielenie się tego anioła opiekuńczego sztuki w akcyą, gdzieindziej rezonerzy opanowywują wyłącznie akcyą, albo stoją po za nią. Wspomniawszy powyżej, że komedya Sardou wymaga sił wybitnych, tem samem uprzedziliśmy sąd o wystawieniu jej na naszej scenie, nie posiadającej tych sił. Niepodobna nawet przykładać całej skali krytycznej, bo kto wie, czy poza jednym Szymanowskim z nią by się kto zrównał. „Po krakowsku“ jednak sądząc, przyznać trzeba p. Sułkowskiej, że opracowała rolę Cecylii starannie, że momenta dramatyczne akcentowała umiejętnie i w akcie III, zdobywała się na niekłamany zapał. Pan Janowski, chociaż niechętnie grywa role amantów lirycznych, Maurycego w scenach miłosnych traktował poprawnie. Merecat p. Siemaszki, dla tych, którzy nie widzieli w tej roli Żółkowskiego, był oryginalnym i skończenie typowym Trzeba przyznać p. Siemaszce trafne przejęcie się pierwowzorem. Zawsze poprawnym był też p. Werner, jako Caussade. P. Winiarski pojął dobrze Abdalacha, jest to bardzo dobra rólka epizodyczna. P. Wojnowska z uprzejmości dla beneficyanta i poszanowania sztuki objęła kilkowyrazową rólkę pani Vignieux. Pn. Koźmin i p. Wójcicka (Eugeniusz) grały z humorem. Pn. Korsakówna, po Leparc w „Herodzie babie“ odważyła się na większą rolę Emilii, odegrała ją z zasobem wdzięku i inteligencyi, która jednak potrzebuje znacznej jeszcze pomocy i wyrobienia scenicznego.

Szymanowski słusznie wybrał sobie rolę Dra Tholosana — dotąd Kraków widział artystę w sztukach, których sytuacyjność przemagała nad charakterami, że nadto były to przeważnie jednoaktówki, więc mniej miał pola do okazania wielkiej wagi przymiotu gry, utrzymywaniu charakteru. Jak to już niejednokrotnie wspominaliśmy na tem miejscu, zadanie gry u nas ogranicza się do przyzwoitego odtworzenia momentów roli, ale nie jej przewodniej myśli i tła·

Pojawienie się aktora, który ten nieodzowny przymiot okazał i zamiast „odegrania" roli stworzył kreacyą sceniczną dla naszej sceny jest dziś już rzadkością. P. Hoffmanowa a w odmiennym stopniu, pp. Wojnowska, Wolska, p. Podwyszyński i beneficyant stanowią u nas jedyny kwintet artystyczny w ścisłem słowa znaczeniu. Młodsze siły dramatu i komedyi nie dorastają jeszcze miary wirtuozowstwa. O Szymanowskim, jako pracowniku krakowskiej sceny nie można wiele jeszcze pisać—zbyt krótko tu bawi, ale niech wolno będzie świadkowi jego pracy w warszawskim teatrze[1]), przy benefisie, przypomnieć tradycyą tej kohorty, którą reprezentuje Szymanowski, a która nie wiele już liczy szczegółówców. Mimo lat średnich, w sztuce, należy on do tej kategoryi artystów, którzy kochając sztukę, posiedli jej wzajemność, a posiadłszy, wierność dochowali.

Charakter ról przeważnie finezyjny, polegający na drobiazgowości szczegółów, minsternie ułożonych w barwną całość, wytworność dykcyi, zespolenie się z akcyą sztuki, utrzymywanie ciągłej spójni między współgrającemi, mimiką i gestami — oto zasadnicze podstawy gry Szymanowskiego.

Humor, jaki roztacza w grze, ma odcień pewnej złośliwcści, heinowskiej ironii, miarkuje ją jednak w scenach ciepła potrzebujących, umiejętną modulacyą głosu, którą celuje, jako jeden z godnych kolegów, mistrzów swej szkoły: Żółkowskiego i Królikowskiego.

Rola Tholosana dała mu obfite pole do popisu, które wyzyskał. *A. M.*

PRZEGLĄD LITERACKI.

Fr. Rawita. **Dwie drogi.** *Opowiadanie na tle pamiętnika osnute. Kraków 1886.*

(Mar.) Dwie natury, dwa charaktery i usposobienia wręcz i zasdniczo odrębne, przeprowadza autor przez swe opowiadanie przed oczyma czy-

[1]) Repertuar Szymanowskiego w teatrze warszawskim składa ze sztuk przeważnie spektaklowych. U nas, dla braku obsady, nie może grywać swoich najlepszych kreacyj. Zarówno repertuar oryginalny, jak i francuski miał w Szymanowskim pracowitego aktora, jak i reżysera, którą to godność sprawując przez lat trzy, wystawił wiele trwałej wartości sztuk. (Przyp. spraw.)

telnika. Szlachcic z krwi, z dziada i pradziada z szlachetnemi popędami, ale nie rachujący się nigdy z okolicznościami, żyjący w świecie illuzyi, wierzący ślepo w środki, jakie podejmuje dla dobra swego kraju, to typ pierwszy powieści, wcielony w postać Janka Daniłowicza. Przeciwieństwo tej natury stanowi Paweł Bulba, z pochodzenia chłop, zdający sobie jasno sprawę z każdej chwili życia, patrzący na społeczeństwo, w którem się obraca okiem rozwagi i zastanowienia. Obydwaj pochodzą z Ukrainy, z jednej wioski Palejówki, należącej do wuja i opiekuna Janka, pana Feliksa Szeligi, odgrywającego w opowiadaniu drugorzędną rolę. Janek, wróciwszy z Kijowa ze szkół na wakacye, zapoznaje się i zaprzyjaźnia z Pawełkiem, nieśmiałym chłopakiem wiejskim, pasącym co dnia gęsi na wygonie, ale zdradzającym wielką ochotę do *hramoty* i rysującym udatne postacie końskie. Nie wiemy wszakże następnie, czemu w Pawełku nie odezwał się talent artystyczny, gdy go pan Szeliga na prożby Janka umieścił w jednej klasie z nim razem w szkołach kijowskich, a następnie, gdy przebywał w uniwersytecie? I na wszechnicy kolegują z sobą towarzysze dzieciństwa, a przyjaźń i zaufanie wzmaga się nieustannie. Paweł poświęcił się historyi, w której „dostrzegał widoczne drogi postępującej ludzkości, gdzie znajdywał zapisane swoje imię i wielu innych zapomnianych w ubóstwie i poniżeniu". Wypadki polityczne zastają ich jeszcze na uniwersytecie. Zjawia się agitator pan Prokop, człowiek gładki ale bez odwagi i charakteru, a nawet przeniewierzający się swojej sprawie, którego nędzę moralną pan Rawita w ciągu opowiadania z zamiłowaniem odkrywa. Prokopowi wszyscy wierzą, oprócz Bulby, idzie jednak w lasy Paweł wraz całą młodzieżą stoczyć niebezpieczną walkę... Osaczeni i złapani, jednocześnie Paweł i Janek przez wzburzone chłopstwo, mają zginąć wśród naigrawań się tłuszczy, gdy wtem ojciec Pawła się znajduje i oswobadza syna, a Janek dostaje się do kijowskiego więzienia, z którego po kilku latach, zawdzięczając opiece i czujności Pawła uchodzi, zatrzymując się w Galicyi. Paweł dobija się tutaj po wielkich trudach stanowiska; Janek jedzie się uczyć medycyny do Wiednia. Wypadki 1870 r. pociągnęły go do Francyi; w walce za jej pomyślność widzi illuzyonista niepoprawny złotą przyszłość... Po wojnie, trawiony tęsknotą, wraca pod Lwów do Pawła, zdobywszy na cudzej ziemi dwa krzyże; jeden błyszczał na jego piersi, drugi zabłysnął wkrótce na jego mogile Umarł wskutek suchot, których się nabawił podczas ciężkiej kampanii. Przed śmiercią odwiedził wraz z Bulbą państwa Porębów, leśniczych w dobrach jakiegoś hrabiego, rodziców żony Pawła, Seweni. Przed kilku laty przybywszy po raz pierwszy do Galicyi, spoglądał czule w jej oczka, a Paweł śpiewając tęskne dumki; „a ja bidnyj syrotyna, step szyrokij to mij swat, burka, szabla wsia rodyna, sywyj konyk to mij brat" i pracując usilnie, wyśpiewał i zdobył sobie serduszko Seweni. Tam to Janek był teraz świadkiem, jak deputacya włościan ofiarowywała Pawłowi mandat poselski a wtedy — „ot widzisz — mówił Janek — nowa droga odkrywa się przed tobą... Mój Boże! zdaje mi się, że nie ma większej nagrody i zaszczytu dla uczciwego człowieka, jak być obrońcą biednych i wyzyskanych... Praca twoja nagradza się tobie so-

wicie... a ja? w illuzyach przeszło mi całe życie... doprawdy niepożytecznie. Oto jest treść opowieści.

Pan Rawita w swoim opowiadaniu podnosi wiele bardzo zacnych, sprawiedliwych i obywatelskich myśli. W wielu razach jego poglądy są bardzo trafne (np. rozmowa między przyjaciołmi pod kasztanami, dotykającymi Piaskowej Góry str. 105, 106, 107) dużo znajdujemy w jego książce pełnych znaczenia maxym, idylicznie jednak nieraz przedstawia stosunek włościan do panów. Autor staje całym sercem przy „pokrzywdzonej mniejszości“, wierzy, nie wiem, czy szczerze w kosmopolityczne państwo (str. 70), walczy przeciw „poważnej mniejszości“. Pan Rawita obdarzony jest talentem publicystycznym, miary wszakże artystycznej nie posiada, jak w ogóle nie jest w „Dwóch drogach“ ani artystą, ani poetą. Polemizuje nieraz, rozpisuje się o *vaccheryi* (krowiarni), jak gdyby potrzebowała tego piękność utworu, wprowadza do powieści osobistości, które do opowiadania nie należą (Antoniewicz Szajnocha) nie umie w napiętych i dramatycznych sytuacyach owładnąć czytelnikiem, jednem słowem, prawie zawsze jest dobrym opowiadaczem a nigdy artystą. Pojedyńcze ustępy są skreślone nieraz żywo, traktowane z przejęciem się i czytelnik musi przypuszczać, że autor albo sam widział te rzeczy, o których mówi, albo skorzystał umiejętnie z opowiadań drugich. Książka czyta się z zajęciem.

ROZMAITOŚCI.

Sztuka i literatura.

— **Pawła Bourget** ostatnia praca „Nowe szkice psychologii współczesnej“ zyskała niezwykły rozgłos w świecie literackim. Jest to dalszy ciąg ogłoszonych dawniej „Szkiców psychologii współczesnej“ (Essais de psychologie contemporaine), które to dzieło, otwierając nowe drogi krytyce literackiej, zapewniło autorowi głośne imię w świecie naukowym. W „nowych szkicach“ prowadzi Bourget dalej według swej metody przyrodniczej analizę pesymizmu, uważanego za rozkładową chorobę XIX. wieku, której zarówno całe społeczeństwo jak poszczególne jednostki bezwzględnie podlegają. Z zebranych skrzętnie symptomatów dochodzi do wniosku, iż dusza ludzka choruje na chroniczną melancholię. Chorobą tą nawiedzonemi zostały według autora najpotężniejsze umysły, to też w podobnem oświetleniu kreśli sylwetki Renana, Taine'a, Dumasa syna, Leconte de l'Isle'a Baudelere'a, którzy przewodniczą pochodowi zrozpaczonego społeczeństwa. Charakterystyka każdego z wymienionych autorów dosadna i plastyczna, chociaż bezstronności dzieła szkodzi tendencya a raczej z góry jakoby powzięte postanowienie dopatrywania się wszędzie i we wszystkich krwawych zagadek i bolesnych problematów. Podporządkowując z góry naczelne talenta i siły umysłowe pod etykietę pesymizmu, autor posuwa się niekiedy zadaleko, zamykając wszystkie obserwacye w pewną formułę, do której naciąga rzeczy i ludzi. Studya p. Bourget czytać można z przyjemnością i pożytkiem, owoc to bowiem poważnych badań. Autor kreśli tu metodą Taine'a szerokie tło społeczne i w oce-

nianiu z'awisk literackich posługuje się historyą, psychologią i fizyologią, starając się krytykę wprowadzić na szerokie tory. Dzieło Bourget'a wywołało protesta ze strony Renana i Dumasa, których autor poddał również swej psychologiczno-krytycznej analizie. Z naszych autórów działalności literackiej Pawła Bourget poświęcił już w zeszłym roku obszerniejsze studyum Stan. Rzewuski.

— **W. Gomulicki** napisał komedyę jednoaktową „Skrytka", która wkrótce ukazać się ma na scenie teatru naszego.

— **Trzechsetletnią rocznicę** śmierci Stefana Batorego uczcić ma Akademia umiejętności wydawnictwem źródeł rękopiśmiennych, dotyczących epoki jego panowania. Uporządkowaniem i przygotowaniem tychże do druku zajmuje się X. Polkowski.

— **Sąd konkursowy** w Tow. Zach. Sztuk Pięk. w Warszawie stanowią w r. b. Pp. Horowitz, Konopacki. Ryszkiewicz, Witkiewicz, Pruszyński, Marczewski, Syrewicz, Cengler, Celiński, Dziekoński, Marconi, Jabłoński, Hirszel, Hus i Wojciechowski.

— **P. A. Piotrowski**, malarz krakowski powrócił niedawno z placu boju, gdzie jako naoczny świadek kampanii serbsko-bułgarskiej zbierał szkice do pism angielskich i francuzkich; p. P. obdarzony został przez księcia bułgalskiego orderem, przez prezesa ministrów zaś został uproszony do przesłania wszystkich głosów prasy polskiej o ostatnich wypadkach na Wschodzie. Korespondent „La France" w barwnym feljotonie kreśli pobyt naszego artysty na placu boju.

— **Dziad i Baba**, popularna bajka Kraszewskiego doczekała się illustratora, w osobie p. Stachiewicza, który wykończył sześć efektownych kartonów do powyższego wiersza; każdy z nich przedstawia inny moment z przestrachu obojga staruszków, wszystkie owiane są tchnieniem poezyi.

— **Prawda** w kilku pierwszych numerach r. b. złożyła dowód, iż w epoce kryzysu wydawnictw peryodycznych wytrwale bronić będzie zasad swoich, dając czytelnikom swym obfitość materyału, starannie dobieranego w duchu z góry powziętego programu. Obok artykułów, omawiających najświeższe wydarzenia, zamieszcza „Prawda" belletrystyczną pracę p. Z. Pietkiewicza (Z. Komara) debiutanta na tej niwie.

Sprostowanie. *Otrzymaliśmy list następujący: Z powodu zamieszczonej w warsz. „Kur. Codz.". wiadomości, jakoby kierownictwo literackie „Przeglądu" w moich spoczywało rękach, z powodu nieprostowania tej błędnej wersyi przez „Kur. Codz." mimo mej prośby, zmuszony jestem, Szanowny Panie Redaktorze, prosić Cię o gościnność w Szan. Twem piśmie dla zaprzeczenia faktu podanego przez „Kur. Codz."*

Z poważaniem.

A. Mieszkowski.

Przyp. Red. Ster pisma naszego pozostaje nadal w rękach p. K. Bartoszewicza.

Teatr i muzyka.

— **Warszawiacy za granicą**. Pp. Noskowski Zygmunt i Messyng napisali pod powyższym tytułem operetkę, której muzyka góruje nad libretem, nawet do operetki za bezsensownem.

– **Sardou** przerobił dramat swój „Ojczyzna" na.. libretto do opery Paladilhe'a, która ma być przedstawioną w wielkiej operze w Paryżu.

— **P. Bolesław Leszczyński** obchodził w Warszawie dwudziestopięcioletni jubileusz pracy scenicznej. Artysta ten znany jest i naszej publiczności, nie widzimy przeto potrzeby charakteryzowania jego talentu; na benefisowem przedstawieniu odegrali artyści warszawscy „Bezczelnych" Augiera; przy znanej szybkości wystawiania nowości w Warszawie, która nawet u żółwi zyskała już naganę, dziwić się należy, że *nareszcie* zdecydowano się ukazać ze sceny dzieło Augiera.

— **Benefisy.** P. Szymanowski rozpoczął kampanię benefisową; przy każdym z nich podamy obszerniejszy rozbiór wartości artystycznej każdego z beneficyantów, dziś musimy zanotować iż w najkrótszym czasie odegrane będą: *Nero*, Cossy (ben. p. Rygiera), *Dług serca* (ben. p. Kałużyńskiej), *Dora*, Sardou (ben. p. Sułkowskiej), *Oddajcie mi żonę*, Abrahamowicza (ben. p. Wojnowskiej), *Wielki dzwon*, Blumenthala (ben. p. Janowskiego) i *Amfitryon*, Moliera (ben. p. Siemaszki).

— **Nasi zięciowie**, nowa 5 aktowa komedya p. Kazimierza Zalewskiego przedstawioną została po raz pierwszy w dniu 16 b. m. na scenie teatru lwowskiego. Krytyka przyjęła utwór Zalewskiego dosyć obojętnie, zarzucając mu błędy zarówno w założeniu, jak szczegółach i budowie sztuki. Treść komedyi porusza kwestyę nader zużytą, bo łączenie się i kojarzenie szczepów i kast i z tego więc względu utwór nie wyróżnia się świeżością pomysłu. Dodatnią jego stronę stanowi wyrazistość niektórych charakterów oraz potoczystość i dowcip dyalogów, stanowiący charakterystyczny przymiot komedyj p. Zalewskiego. Ponieważ „Nasi zięciowie“ ukazać się mają w najbliższym czasie na naszej scenie przeto obszerniejsze sprawozdanie i rozbiór sztuki podamy we właściwym czasie.

— **Teatr „Comedie francaise“** przedstawił z wielkiem powodzeniem sztukę Teodora de Bauville: „Sokrates i jego żona“. Rzecz jest wesoła, i pełna wartości . Sokrates jedynie przedstawia się zbyt poważnym. Coquelin odtwarzający jego postać, zbierał rzęsiste oklaski.

Przegląd prasy.

(Wł. P.) **Przegląd społeczny**. Szczupłemu zastępowi polskich pism naukowych przybył nowy towarzysz *Przegląd społeczny*, wychodzący we Lwowie pod redakcyą St. Manieckiego. Już dawniej ogłoszony program tego miesięcznika zapowiedział kierunek nowego pisma. „Przegląd społeczny“ zamierza szerzyć w duchu postępowym wyniki nauk społecznych i ekonomicznych i zaznajamiać ogół polski z współczesnym postępem tych gałęzi wiedzy za granicą, z uwzględnieniem jednak spraw i interesów naszego kraju. Program ten nie wykluczający nadto innej, treści, jak tego dowodem zeszyt pierwszy, byłby bardzo pożądany i wypełnićby mógł dotkliwie się czuć dający, zwłaszcza u nas w Galicyi brak w tym kierunku, byleby pismo trzymać się zechciało tych zakreślonych granic i nie dało unieść prądom zbyt jaskrawego postępu, które łatwo zwichnąćby mogły poważny kierunek „naukowo-literacki“ jaki sobie zakreśliło.

Styczniowy zeszyt „Przeglądu społecznego“ przedstawia się bardzo korzystnie, tak ze względu na dobór artykułów jak formę zewnętrzną. Widocznem jest, że redakcya nie szczędziła trudu i starania, aby pismo należycie polecić publiczności, a nazwiska, Brandesa, Jeża, Limanowskiego, Wołowskiego, których prace w tym pierwszym zeszycie znajdujemy są najlepszem tych starań świadectwem.

Na czele zeszytu znajdujemy początek nowelli M. Wołowskiego: „Kusiciel“ osnuty na tle stosunków irlandzkich, następnie wyjątek z obszernej pracy B. Limanowskiego p. t. „Polska w czasie wielkiej rewolucyi francuskiej i wpływ tej ostatniej na nią“. W ciekawej tej pracy usiłuje autor wykazać, że naród polski na schyłku XVIII. stulecia począł zajmować wcale niepoślednie stanowisko na polu umysłowości i społecznego rozwoju i że jedynie gwałtowne zatamowanie całego jego rozwoju wywołane politycznemi wypadkami, przeszkodziło dojrzeniu owej fazy samodzielnej przemiany polityczno-społecznych reform, które już kiełkować zaczęły pod działaniem twórców reformy majowej. W dalszym ciągu znajdujemy zajmujący szkic: „Madjary a Kroaci“ pióra T. T. Jeża, w którym znakomity znawca spraw południowo-słowiańskich skreślił stosunek Kroacyi do Węgier i genezę dzisiejszego sporu dwóch tych narodowości.

Ozdobą zeszytu jest artykuł Jerzego Brandesa: „Typy kobiet niemieckich“ zawierający wielce ciekawe właściwym Brandesowi sposobem wiernie z natury uchwycone rysy i właściwości charakteru kobiet niemieckich. Artykuł „Konkurencya amerykańska“ poruszający najżywotniejszą dziś dla przemysłu zarówno naszego jak i ogólnego-europejskiego kwestyę produkcyi amerykańskiej i zalewanie nią rynków europejskich, jest umiejętnem streszczeniem dzieła R. Meyera: „Ursachen der americanischen Concurenz“, zawierającym wiele ciekawych szczegółów.“

Szereg prac poważniejszych zakończa „Przyczynek do wyjaśnienia skutków ucisku przekonań religijnych“ rzecz stosunkowo wcale słaba. Dział sprawozdań literackich obficie zasilony zdradza umiejętny wybór. „Kronika spółczesna“ omawiająca kwestyę przesilenia agrarnego w Galicyi, tudzież sprawę wychodźctwa włościan z Królestwa, oraz „Kronika francuska“ zawierająca umiejętnie i barwnie skreśloną charakterystykę partyj politycznych we Francyi, zakończają całość zeszytu, zalecającego się pod każdym względem zajmującą i poważną treścią. W całym tym zeszycie dotkliwie się czuje brak części redakcyjnej, któraby objaśniła czytelników, kto mianowicie zebrał te prace; pożądaną byłoby, aby w przyszłych numerach znikła ta tajemniczość.

Kończąc na tem wzmiankę o „Przeglądzie“ i wyczekując niecierpliwie następnych zeszytów, życzymy nowemu koledze i imiennikowi powodzenia i poparcia, na które pierwszym zeszytem w zupełności zasłużył.

— **Przegląd Polski**. Styczeń 1886. Na czele zeszytu znajdujemy artykuł X. Wal. Kalinki p. t. „Jan Jakób Rousseau i jego wpływ w Polsce“ kreślący działalność głośnego spółczesnego publicysty Stanisława Staszyca. Jest to wyjątek z drugiej części drugiego tomu. „Sejmu czteroletniego“, która niebawem ukaże się w druku. W dalszym ciągu mieści się powieść Wład. Łozińskiego „Madonna Busowiska“, którą równocześnie drukuje także „Gazeta polska“.

Artykuł Milewskiego „Prawo spadkowe a własność ziemska“ jest przyczynkiem do kwestyi podziału gruntów włościańskich. Wspomnienie pośmiertne o Leonie Ulrychu, obfita kronika literacka, mieszcząca rozbiór najnowszych płodów zarówno narodowego jak i obcego piśmiennictwa, wreszcie „Przegląd polityczny“ zakończają zeszyt, który wyróżnia się od poprzednich staranniejszym doborem artykułów.

— **Dziennik polski** drukuje powieść Rogosza: Na dziejowym przełomie“. Współwłaścicielem „Dziennika“ stał się p. Kazimierz Ostaszewski, dotychczasowy recenzent teatralny tego pisma.

— **N. Reforma** zamieszcza bardzo interesujące feljetony o wojnie bułgarsko-serbskiej, pisane przez naocznego świadka kampanii; poprzednie drukowała „Reforma“ obrazek Orzeszkowej „Przy dochodzeniu śledczem“. Ta rozmaitość treści feljetonów pochlebnie świadczy o staranności redakcyi.

— **Tygodnik illustrowany**, wzmocniony zasobami *Powszechnego* nie uzasadnił jeszcze pochwał, jakie mu głoszono przed okazaniem się pierwszych numerów, których treść jest dość sucha i nadto okolicznościowa.

— **Echo muzyczne i teatralne** zamieszcza obrazek dramatyczny Hajoty „Co zwycięża“? W jednym z poprzednich numerów tego pisma zamieszczoną była również sylwetka sympatycznej autorki.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. K. Z. Nasz „Przegląd literacki“ zasłaniać będzie „mężną piersią nietykalnych stańczyków“, za co ci „nie omieszkają wywdzięczyć się tak nazwaną przez grzeczność subwencyą.“ Tak twierdzi warszawski „Przegląd tygodniowy“. A to..... mądry i uczciwy!....

WARUNKI PRENUMERATY:

W Krakowie: rocznie 6 złr., półr. 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.

Z przesyłką w Austryi: rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.

W Wielkopolsce: z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.

W Warszawie: rocznie 4 rs., półrocznie 2 rs. Z przesyłką do Cesarstwa i Królestwa rocznie 6 rs., półrocznie 3 rs.

Skład główny w Warszawie w księgarni G. Centnerszwera. Ulica Marszałkowska, Nr. 72.

Przegląd wychodzi każdego 15-go i 30-go dnia miesiąca i obejmuje 2½ do 3 arkuszy druku.

Adres Redakcyi i administracyi:

K. Bartoszewicz w Krakowie
ul. Sławkowska, hotel Saski.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Roman Gątkiewicz.**